

**MARGIT SANDEMO**

**PRZEKŁĘTY SKARB**

Z norweskiego przełożyła

LUCYNA CHOMICZ-DĄBROWSKA

POL-NORDICA Publishing Ltd

Otwock 1996

## ROZDZIAŁ I

- Poświęć mi tutaj i przestań się kręcić! - W głosie młodego człowieka zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Przecież świecę, głupcze!

- Cicho bądźcie! Jeszcze nas ktoś usłyszy - upominała jakaś dziewczyna.

- Znalazłeś coś, Emilu? - wtrącił się kolejny głos.

- Zamknij się! Nic nie widać. Światło! Bliżej!

Przejmujący wiatr zawodził nielitościwie. Szumiało w koronach drzew. Dwie dziewczyny obejrzały się za siebie, bo zdawało im się, że ktoś szepcze ostrzegawczo.

Ale to był tylko wiatr.

- Słyszeliście te szmery? - spytał chłopak, który trzymał latarnię.

- Przestań pleść bzdury, Bror! Zawsze byłeś tchórzem!

Jedna z dziewcząt znów odwróciła głowę. Bror miał rację. W lesie pobrzmiwały niespokojne tony podobne do dźwięków muzyki organowej. Wydawało się, że zwiastują grozę i lęk, głoszą przestrogę przed niezgłębionym mrokiem ludzkiej duszy. A może jedynie próbowały uprzedzić o śmiertelnym niebezpieczeństwie czającym się gdzieś w głębi lasu?

Boję się, pomyślała dziewczyna. Przerazają mnie nie tylko ciemności, nocna sceneria lasu. To coś więcej. Tutaj, gdzieś blisko...

- Wracajmy do domu - rzekła bezwiednie.

- Chyba oszalałaś! - oburzyła się ta druga. - Mamy się wycofać? Teraz, kiedy jesteśmy już tak blisko celu?

Vivian niczego się nie boi, jest taka odważna, pewna siebie i tego co robi. Chciałabym być podobna do niej.

Spojrzała na chłopca. Ledwie widoczny w bladym świetle latarni, pochylony nisko pracował zawzięcie. Poczula ciepło w sercu. Emil... najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego zna. Wprawdzie wszyscy czworo niewiele różnili się wiekiem, jednak Emil wyglądał z nich najdoroślej. Urodziwy niczym Adonis, o nieustępliwym spojrzeniu, które dodawało mu powagi. Kochała Emila całym swym młodym niedoświadczonym sercem.

- Tutaj - szepnął.

- Znalazłeś coś? - ożywiła się Vivian.

- Tak, coś tu jest. Byłem pewien, że znajdziemy skarb, o którym krążą legendy. Gdzie jest mała łopata?

Rozglądali się gorączkowo. Łopatka leżała pod stertą usypanej ziemi.

- Za duża! - uznał Emil.

- Mam łyżkę - odezwała się cicho Matylda, szczęśliwa, że może w czymś pomóc.

- Wspaniale!

Emil chwycił łyżkę i zaczął grzebać w ziemi.

Powiedział „wspaniale”, był z niej zadowolony!

Wiatr w lesie zawodził coraz bardziej przejmująco. Kołysał gałęziami drzew, to wznosząc się, to cichnąc niczym fale na wzburzonym morzu.

Bror obejrzał się za siebie.

- Stój spokojnie i świeć! - syknął Emil.

- Zaczyna być nieprzyjemnie - mruknęła Vivian. - pospiesz się, Emilu!

Odwrócił się i obrzucił pozostałych przenikliwym spojrzeniem.

- To jak w końcu, chcecie być bogaci, czy nie?

Matylda przełknęła ślinę, Bror drżał na całym ciele i z trudem oddychał.

- Oczywiście, że chcemy - zdecydowała za wszystkich Vivian. - Tylko że ten zachodni wiatr wyje tak przeraźliwie...

Naraz Emil odskoczył do tyłu, jakby ukąsiła go żmija.

- Co się stało? - spytała Matylda.

- E, tam. Nic takiego. Wydaje mi się jednak, że... Vivian, gdzie jest worek?

Dziewczyna precyzyjnie się do przodu i podała bratu szmaciany worek.

- Nie wiadomo, co to może być - powiedział Emil. - Na wszelki wypadek nie będę tego dotykał.

- Co ci jest? Zachowujesz się jakoś dziwnie - próbowała dociec Vivian.

- Nic. Zdawało mi się tylko, że to parzy, ale chyba musiałem się po prostu o coś pokłuć. O, tak, zawiążemy worek. W domu obejrzymy dokładnie, co znaleźliśmy.

- A może tutaj jest coś jeszcze? - zastanawiał się Bror, najmłodszy z czwórki.

- Nie sądzę - odrzekł Emil. - Macałem dookoła, sama ziemia.

- Obejrzyjmy to od razu! - upierała się Vivian.

- Nie, najpierw trzeba będzie dokładnie oczyścić to z gliny. Chodźcie już!

Kiedy oddalali się z miejsca, w którym kopali, idąca jako ostatnia Matylda odniosła wrażenie, że w gałęziach drzew nasiliły się przepełnione złością szepty.

Położyli worek na łóżku w pokoju Vivian.

- Ciekawe, co to jest? Wygląda niepozornie - zastanawiał się Bror.

- To prawda - rzekł Emil. - Ale wydaje mi się, że to coś niezwykłego. I bardzo cennego.

- Na pewno. Odwiąż!

Cała czwórka pochyliła się nad workiem. Matylda cofnęła się.

- Nie, co to...

- Widzieliście? - odezwał się Bror. - Cała glina odpadła.

- Och! - Vivian brakło słów.

- Jesteśmy bogaci - stwierdził Emil.

- Wyjmij to - zaproponowała Vivian.

Ale Emil odniósł się dziwnie niechętnie do jej pomysłu.

- Wydaje mi się - powiedział - że powinni to zobaczyć nasi rodzice.

- Jeszcze nie teraz - przerwała mu gwałtownie Vivian.

Brorowi i Matyldzie wydawało się, że w jej głosie pobrzmiwają jakieś obce tony, jakby agresja połączona z chciwością.

- Najpierw wyjmijmy to z tego brudnego worka. Taki skarb musi mieć właściwą oprawę. Przełożmy go lepiej do mojej czerwonej torebki ze skóry, opróżnij ją.

Ożywiona wysypała zawartość mieszka, a kiedy wyciągnęła rękę po znaleziony skarb, Emil powstrzymał ją.

- Nie dotykaj!

Vivian zastygła na moment.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ale kiedy w lesie chciałem wziąć to do ręki, ogarnęło mnie strasznie nieprzyjemne uczucie. Nie mam pojęcia, z jakiego powodu.

- Gadanina! Ale skoro nalegasz...

Wsunęła znaleziony przedmiot do eleganckiego mieszka.

- O, tak! Teraz schowam to do mojej szafy...

- Nie! - zaprotestował ostro Emil. - Ja się tym zajmę i sam zdecyduję, czy powiadomimy rodziców. Sam także postanowię, co z tym zrobimy. Jestem z was najstarszy!

Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

Senne koszmary.

Języki ognia, drewniana chata w płomieniach. Oparzenia. Dym.

Jakaś kobieta patrzy przenikliwym wzrokiem. Blisko, coraz bliżej.

Ciemność.

Tortury. Okrucieństwo. Ból, gwałt, przejmujący krzyk, złowrogi śmiech. Te okropne oczy... tak blisko.

Ciemność.

Słowa więzną w krtani. Strach przed śmiercią w płomieniach. Brak mi powietrza, duszę się. Ścisk w gardle. Mroczyki przed oczami. Pulsowanie w skroniach. Nie mogę złapać tchu.

Te okropne oczy. Blisko.

Gęsty mrok. Coraz ciemniej, coraz głębiej...

Ból. Śmiech. Dźganie nożem. Boli, och, jak boli. Krzyczę, wyję z bólu.

Oczy kobiety gdzieś zniknęły. Ależ ta kobieta jest we mnie!

To ja nią jestem!

Nocną ciszę we dworze zakłócają krzyki, dobiegające z coraz to innego pokoju. Wszystkich dręczą koszmary.

Świt.

Dwór trwa pogrążony w ciszy. Dzwony ogłaszają dzień święty.

W domu nie ma nikogo, wszyscy poszli do kościoła.

A jednak...

Ktoś się skrada, uchyla ostrożnie drzwi.

Gdzie? Gdzie to jest?

Niecierpliwe dłonie otwierają szuflady w komodzie, przeszukują je dokładnie, jedna po drugiej. Podnoszą materac.

Oznaki poirytowania.

Może w biurku? Albo w szafie na ubrania.

Tam!

Niespokojne, nerwowe dłonie poluzowały paski, zanurzają się w skórzanej torebce.

Skarb jest mój, tylko mój! Sprzedam, nim ktokolwiek się spostrzeże...

Pośpiesznie oddalające się kroki. Muszę to ukryć, schować gdzieś głęboko!

Szybki niespokojny oddech.

Gardło? Nie mogę oddychać, brakuje mi powietrza. Niewidzialne dłonie zaciskają się na mojej szyi, duszę się.

Oczy?

Ciemność. Dudniąca bolesna ciemność.

Cisza.

## ROZDZIAŁ II

Dziś ten piękny dwór już nie istnieje. Nikt nie pozostał w prześlicznej okolicy nad brzegiem morza. Wydarzenia, które rozegrały się w XVII wieku, były nazbyt okrutne, by przejść nad nimi do porządku dziennego. A może... zło czai się tam nadal? Może z tego powodu ludzie unikają tego miejsca?

Kiedyś wznosił się tu wspaniały dwór, typowy dla terenów południowej Szwecji. Jego nazwa - Hult - pochodziła od niewielkiego zagajnika w pobliżu, za którym ciągnął się nieprzebyty bór. Wokół czworokątnego dziedzińca stały drewniane chaty. Mieszkali tam robotnicy dworscy, parobkowie, służące, kucharze i pokojówki. Na środku podwórza rosło okazałe drzewo, a w jego cieniu znajdowała się studnia. Przez zwieńczoną łukiem bramę wjeżdżały załadowane po brzegi wozy. Dwór tętnił życiem. Ostatni potężny właściciel, za którego czasów majątek przeżywał swą świetność, nazywał się Nils Brodersson Huldt.

Potem dwór opustoszał, podupadł, a budynki uległy kompletnej ruinie. Nie uprawiane pola zamieniły się w ugór. Z czasem las pochłoniął wszystko.

Oczywiście nie brakowało chętnych, by osiedlić się na tym miejscu, gdyż trudno o piękniejszy zakątek. Jednak za każdym razem, kiedy stawali na tej ziemi i planowali rozmieszczenie budynków, nachodziła ich niewytłumaczalna niechęć i przestawali wspominać o budowie.

Teraz wszystko przepadło, zapomniane.

Noc.

Ktoś niepokieszony żali się w mroku.

Z budynku oświetlonego księżycową poświatą dochodzi czyjś płacz.

Słysząc w nim skargę na samotność, rozgoryczenie z powodu własnej głupoty.

Nic nie przygnębia człowieka bardziej jak świadomość, że sam ponosi winę za zaistniałą sytuację.

Zmarnowane życie, bez przyszłości, bez bliskich, którym można zaufać.

Tęsknota za tymi, którzy potrzebują troski i miłości, a odjechali daleko. Żałość, że niczego już nie da się naprawić.

Płacz płynął wprost z krwawiącego serca. Nie pozostawiał nawet cienia nadziei.

Burzliwe czasy nastały dla Szwecji za panowania króla Karola X Gustawa. Ciągłe

wojny sprowadziły na kraj niedostatek i niepokój. Szczególnie ucierpieli mieszkańcy Skanii. Dwór Hult leżał właśnie w tej prowincji tuż przy granicy ze Smålandią. Król podbił Skanię, Blekinge i Hallandię znajdujące się pod panowaniem duńskim, ale bynajmniej nie zamierzał na tym poprzestać. Po zawarciu pokoju w Roskilde w 1658 roku zapragnął podporządkować sobie jeszcze Zelandię i kolejno inne prowincje. Wszystko po to, by zapewnić Szwecji panowanie w cieśninie Öresund.

Ostatnia wyprawa wojenna zakończyła się wielkim fiaskiem, sprowadzając na południową część kraju jedynie nędzę i chaos.

Wielu mieszkańców Skanii, którzy czuli silniejsze związki z Danią, opuściło rodzinne strony, nie chcąc zaakceptować nowego układu politycznego. Inni, jak na przykład snapphanowie, ukryli się w lasach i bezlitośnie napadali na wszystkich, nie bacząc, czy to wróg, czy tylko przypadkowy podróżny.

Większość żołnierzy Karola X Gustawa przedostała się przez cieśninę i powróciła do domu. We wrogiej Danii pozostali jednak najciężej ranni. Nastał dla nich czas upokorzeń; wiele lat minęło, nim los pozwolił im wrócić do rodzinnego kraju.

Wśród żołnierzy królewskiej armii, którzy pozostali w Danii, znalazł się Alvar Svantesson Befver. Pochodził z bardzo dobrej rodziny, inaczej zresztą nie otrzymałby szlifów oficerskich. Awansował dość szybko i mimo młodego wieku był już kapitanem.

Nielekką było rannym Szwedom podczas przymusowego pobytu w Danii. Ulokowano ich w stajni jakiejś posiadłości w skrajnie prymitywnych warunkach. Nie szczędzono pogardy i drwiny. Na każdym kroku okazywano im wrogość. Naśmiewano się z nich, wykpiwano za to, że wierzyli, iż uda im się podbić mocarstwo duńskie.

Alvarowi brakowało argumentów, by uciszyć szyderców, ponieważ mieli bowiem rację. Tyle tylko że kierowali złośliwe uwagi pod złym adresem. Zasłużył na nie król Szwecji, a nie jego żołnierze.

Życie Alvara nie raz wisiało na włosku. Nie brakowało bowiem takich, którzy pragnęli wziąć odwet za inwazję Szwedów, za „kradzież” Skanii, Blekinge, Hallandii i Bohuslandii, Bornholmu i prowincji Trondhjem, a bezbronni, chorzy i słabi żołnierze wrogiej armii idealnie nadawali się do roli kozłów ofiarnych.

Największym zagrożeniem dla rannych jeńców były fatalne warunki sanitarne. Padali jak muchy atakowani przez szalejące epidemie groźnych chorób, co duńscy strażnicy przyjmowali z olimpijskim spokojem. Kapitanowi Befverowi udało się jakoś cudem uchronić przed zarażeniem. Może dlatego, że był silnej postury i miał doskonałą kondycję. Zdawał

sobie jednak sprawę, że w każdej chwili grozi mu atak choroby.

Pewnego dnia do tego urągającego wszelkim zasadom higieny lazaretu brutalnie wepchnięto młodego chłopca. Runął na klepisko ze związanymi z tyłu rękami. Wydawało się, że sanitariusze - o ile można użyć takiego określenia - nie chcieli go w ogóle dotykać. Klęli głośno i sprawiali wrażenie przerażonych.

Alvar Svantesson Befver był spośród rannych jeńców w najlepszej formie. Zwłóknął się więc ze swego posłania, by pomóc choremu chłopcu, który wyglądał tak młodo, że nie mógł jeszcze służyć w wojsku.

Kiedy go dotknął, poczuł silną niechęć. Nie miał pojęcia, dlaczego. Coś go ostrzegało w duchu: „Trzymaj się z daleka, jeśli ci życie miłe”.

Cóż za idiotyczna reakcja! Przecież to tylko chłopiec, taki młody, bezbronny i przerażony.

Alvar przemógł się i poluzował więzy na dziecinnie szczupłych nadgarstkach przybysza. Sam, ranny w bok, dość długo walczył z gorączką, ale teraz zaczynał już dochodzić do siebie.

Och, gdyby tylko udało mu się wydostać z tej cuchnącej stajni będącej wylęgarnią chorób! Poczłogałby się do Szwecji, przepłynął wpław przez cieśninę, jeśli zabrakłoby innego środka transportu, byleby uciec stąd jak najdalej.

Stan chłopca okazał się bardzo ciężki. Alvar obmył mu ubłoconą twarz i opatrzył go najlepiej jak potrafił. Tak, chłopiec był poważnie chory. Ale to nie zewnętrzne rany dokuczały mu najbardziej. Rozbieganym wzrokiem rozglądał się nerwowo po stajni, a kiedy jeden z rannych przewrócił się na drugi bok, chłopiec aż podskoczył. On się po prostu bał.

Zresztą czy w takich czasach może to kogoś dziwić?

Ale... to nie był zwykły strach. To nie świat zewnętrzny przerażał chłopca, lecz coś w nim samym.

Alvar pomógł nieszczęśnikowi ułożyć się na swoim nędznym posłaniu. Nie mógł przecież zostawić go w takim stanie na klepisku, a innej wolnej przyczyny nie było.

- Jak się tutaj znalazłeś? - spytał. - Nie jesteś przecież żołnierzem.

- Nigdzie mnie nie chcieli... - wystękał chory. - Niedobrze się stało... Wszystko, wszystko nie tak! Wyrzucają mnie z każdego miejsca, w którym się pojawiaę.

Wcale mnie to nie dziwi, pomyślał Alvar. Jest w tym chłopcu coś odpychającego.

Ale nie rozumiem, co to takiego?

Chłopiec zaczął majaczyć:

- Muszę się spieszyć... Oddać... Zakopać z powrotem... Bo inaczej nie znik... te



okropne złe oczy.

Głos uwiązał mu w gardle. Był wycieńczony. Alvar przyglądał się choremu. Miał szlachetne rysy twarzy, co prawda jeszcze bardzo dziecinne. Wyrażał się nienagannie. Posługiwał się pięknym północnoskańskim dialektem. Ubranie, z którego zostały nędzne łachmany, uszyto niegdyś z dobrej jakościowo tkaniny... Ale mimo to coś złego działo się z chłopcem.

Te ślady na szyi...? Wyglądają okropnie, jakby go ktoś dusił.

A czy ubranie nie jest nadpalone?

W co on się wplątał? Przecież Duńczycy nie mogli być tacy brutalni wobec dziecka.

- Jak się nazywasz? - spytał Alvar.

- Bror Nilsson Huldt - odrzekł chłopiec z wysiłkiem, jakby bolało go gardło.

W jego oczach zalśniły łzy. Wyraźnie walczył ze sobą, by nie wybuchnąć płaczem. Twarz wykrzywiła mu się cierpieniem.

- Dobrze już, dobrze - uspokajał go Alvar. - Postaraj się nie płakać!

- To tylko... o, nie... jak strasznie mnie boli! Nie nawykłem do tego, by ktoś okazywał mi życzliwość. Dziękuję, dziękuję!

Zgasł. Alvar nie wiedział, czy zapadł w sen, czy stracił przytomność.

Siedział na krawędzi pryczy, starając się nie zbliżyć do Brora. Ogarniała go niezrozumiała odraza, ilekroć go dotykał.

Biedny młodzieniec, wyglądał na takiego, co nie potrafi skrzywdzić nawet muchy.

A mimo to nikt nie chciał mieć z nim do czynienia.

Nawet Alvar, który zwykle do wszystkich odnosił się przyjaźnie.

Chłopiec stanowił dla niego prawdziwą zagadkę.

Pod wieczór Bror Nilsson przebudził się z głośnym krzykiem, jakby dręczyły go jakieś koszmary. Alvar siedział na skraju posłania, bowiem użył swej pryczy choremu. Rozumiał, że chłopcu śniło się coś strasznego. Odniósł wrażenie, że w stajni zapanował nastrój grozy. Pielęgniarze także zdawali się wyczuwać coś niepokojącego. Chorzy pojękiwali głośno, żalili się, że chcą opuścić to miejsce, wrócić do domu.

Dla Alvara Svantessona Befvera było aż nazbyt oczywiste, kto jest przyczyną tej atmosfery.

Nikt nie zamierzał podejść do Brora Nilssona, który usiadł, wyrwany z koszmarnego snu. Kaszlał i dłońmi obejmował obolałą szyję. Twarz o pięknych rysach posiniała i spuchła, a pod cienką skórą widoczne były nabrzmiałe żyły.

Mimo niechęci, jaką odczuwał, a także panicznego strachu przed dyfterytem i innymi chorobami zakaźnymi, kapitan Befver nachylił się, żeby obetrzeć perlisty pot z czoła chłopca.

Młodzieniec usiłował mu coś powiedzieć.

- Tak, słucham?

Bror Nilsson Huldt osunął się na pryczę, oddychał już równiej, dłonie niepewnie położył na piersi. Alvar zrozumiał, że chłopiec zawiesił coś na szyi i ukrył to pod ubraniem. Pomógł mu więc przełożyć przez głowę skórzany pasek czerwonej torebki. Alvar nie miał ochoty jej dotykać, więc położył ją na kocu.

Bror znowu krzyknął i próbował odsunąć się jak najdalej.

Po chwili uspokoił się i wystękał z wysiłkiem:

- Weź to z sobą! Zawieź mojej siostrze. To bardzo ważne. Ona wszystko zrozumie. Jedź do mojego domu, do Hult. Jak najprędzej! Zabierz to, nim znowu coś się stanie. Pospiesz się!

- Gdzie leży Hult?

Mówił z trudem. Po każdym słowie następowała długa przerwa:

- Północna Skania... blisko lasów Göinge. Musisz zboczyć z głównej drogi przy...

W końcu Alvar dowiedział się wszystkiego.

- Będę jechał tamtędy do domu, mogę więc ci obiecać, że wstąpię po drodze - powiedział, bo wydawało mu się, że dla chorego chłopca, który prawdopodobnie miał nikłą szansę wydostania się o własnych siłach z tego miejsca, była to sprawa życia lub śmierci.

- Dziękuję! Bardzo dziękuję. To pilne! Kapitanie, w twoich rękach jest Śmierć. Wszystko obróciło się przeciwko nam. Powiedz to mojej siostrze!

- Jak ona się nazywa?

Bror Nilsson zaczynał znowu majaczyć.

- Przeprowadziliśmy się... do Danii. Po tym jak król Karol...

Spróbował jeszcze raz.

- Ona została. W Hult. Wyszła za mąż. Przejęli dwór. Ja miałem dostać ten drugi. Tu w Danii. Nasze młodsze rodzeństwo... zostało wyrzucone. A może sami uciekli? Znajdź ich! Grozi im niebezpieczeństwo! Mnie także i mojej siostrze. Dwór spłonął...

- Jaki dwór?

- W Da... - Bror mówił coraz niewyraźniej, z trudem wypowiadał pojedyncze słowa. - Ojciec... spłonął w środku. Powiedz jej... to wszys...

Głos zamarł. Jedynie usta poruszały się bezgłośnie. Alvar pochylił się nad chłopcem i z tych półwypowiedzianych słów wyłowił ostrzeżenie, choć nie był do końca pewien, czy

właściwie pojął chorego: „Tylko pamiętaj, obojętnie co by się działo, pod żadnym pozorem nie otwieraj tego!”

Niechętnie podniósł się z posłania. Nie był zbyt silny, choć o wiele zdrowszy niż ten biedak. Z nich dwóch tylko on mógł wykonać to zadanie.

Właściwie nikt dokładnie nie wiedział, co dolega Brorowi Nilssonowi. Nikt go nie zbadał, ba, nikt nawet nie miał zamiaru do niego podejść. Alvar czuł się za niego odpowiedzialny. Pragnął pomóc temu chłopcu, który znów stracił przytomność.

Obejrzał go dokładnie. Prócz brzydkich śladów na szyi dostrzegł poparzenia, tak jak się spodziewał. To by się zgadzało z tym, co powiedział chłopiec. Ze jego dwór w Danii strawił pożar.

Alvar odwrócił Brora i opatrzył rany nędznymi środkami, jakie miał pod ręką. Wiedział, że wołanie na tak zwanych pielęgniarzy nie ma sensu, bo ci nie przejmowali się takimi drobiazgami jak opieka nad chorymi. Natomiast lekarz wojskowy ani razu nie pojawił się w stajni.

Alvar odłożył skórzaną torebkę w najdalszy róg pomieszczenia, by nie przeszkadzała.

Zrobiwszy wszystko, co mógł, dla nieszczęsnego chłopca, podjął decyzję. Nie był wprawdzie jeszcze zdrowy, daleko mu do tego - ale myśl o tym, że miałby zostać w tym ohydny miejscu choć jeden dzień dłużej, wydała mu się nie do zniesienia. Bror Nilsson Hultt zlecił mu zadanie. Potrzebował właśnie takiego bodźca, by wydobyć się z apatii i lęku, jaki porażał go na myśl o przedzieraniu się przez wrogi kraj. Zapragnął wrócić do Szwecji. Niech się dzieje, co chce!

Nagle chłopak wyciągnął do niego rękę.

- Nie powinniśmy tego robić! Nigdy! Było nas czworo! Niebezpieczeństwo! Śmiertelne niebezpieczeństwo.

Słowa znów się urwały. Alvar przybliżył się do chłopca, ale doszedł go jedynie szept: „Vanland. Donald. Hult. Oczy”.

- Dobrze, pojedę do Hult, do twojego domu - uspokoił go. - Jak nazywa się twoja siostra?

Wydawało mu się, że chory wymówił jakieś trzysylabowe imię, a potem doszły go jeszcze ciche słowa:

- Źle wybrała. I ojciec także, dużo wcześniej. Wszystko poszło złą drogą. Czy oni tego nie rozumieli? Pośpiesz się. Pomóż jej! Pomóż jej zrobić to, co należy. Naprawić szkodę! Naprawić...

Znów opadł z sił.

Dziwne, ale wyglądało na to, że na chłopca spłynął spokój. Wreszcie zasnął. Alvarowi wydawało się, że to z powodu zrzucenia ciężaru z serca, opatrzonych ran i ogólnie ze zmęczenia.

Teraz jednak Alvar poczuł się zagrożony, podenerwowany, pełen niechęci nie skierowanej bynajmniej przeciw chłopakowi.

Ponieważ nie mógł wziąć Brora z sobą, bo musiałby go nieść przez cały czas, a na to nie miał sił, udał się w drogę sam. Pod osłoną nocy zdołał wymknąć się przez dziurę w ścianie tuż przy podłodze stajni i ujść spojrzeniom wartowników.

Nadal jednak czuł się dziwnie nieprzyjemnie. Przepelniała go odraza, był podekscytowany, jakby chciał, a nie mógł od czegoś uciec.

### ROZDZIAŁ III

Zza ściany dochodzi stłumiony szloch. Niczym skarga z otchłani rozpaczy.

Czasem kłopoty potrafią złamać człowieka. Gdy pogasną wszystkie światła nadziei, świat ogarniają ciemności.

Bez przyszłości. Bez najzwyczajszego przyjaznego słowa.

Bez niczego.

W pokoju sypialnym dworu w Hult na brzegu łóżka siedziała młoda kobieta. Załamując dłonie, żaliła się cichutko. Wiedziała, że jej twarz spuchła od płaczu i pokryła się czerwonymi plamami, ale nie mogła się uspokoić.

- Nic nie rozumiem - szlochała. - Dlaczego? Dlaczego? Co ja takiego uczyniłam?

Pokój był właściwie bardzo ładny, jasny, z kwiecistym szlakiem zdobiącym krawędź sufitu. Meble pamiętały czasy dzieciństwa, mama wybierała je z taką troską, by dopasować do stylu pomieszczenia.

Mama... Jak to było dawno!

Zazgrzytał zamek w drzwiach. Dziewczyna zastygła. Wyprostowała się i nabrała powietrza w płuca jakby w odruchu samoobrony.

W pokoju panował półmrok, zasłony były zaciągnięte, a okiennice na zewnątrz zamknięte i zabite gwoździami.

Wszystko po to, by nie dało się zajrzeć do środka. Więzienie.

Pomimo mroku dziewczyna wiedziała dobrze, kto wchodzi. Nikt inny bowiem jej nie odwiedzał.

Mężczyzna, w którym kiedyś była taka zakochana, pochylił się nad nią.

- No i co? Jesteś głodna? - zapytał.

Nie była w stanie mu odpowiedzieć, z trudem przełknęła ślinę. Nie jadła już od wielu dni i on dobrze o tym wiedział.

Jego głos, który niegdyś tak kochała, teraz brzmiał zimno i bezwzględnie.

- Sama jesteś sobie winna! - mówił. - Nic nie dostaniesz, póki mi nie powiesz. No, mów! Gdzie to ukryłaś?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - wyszeptwała przerażona i cofnęła się przed pochylającą się nad nią groźną postacią. Jej odruch jeszcze bardziej go zirytował.

- O, wiesz doskonale, o czym mówię. Było nas tylko czworo. Nie mieliście prawa nam

tego zabierać.

- Ależ, zapewniam cię...

Uderzył ją szpicrutą.

- Dostałaś w posagu tylko ten podupadły dwór. Skarb mógłby mnie uratować!

„Mnie?” A więc już zdecydował, że wszystko należy do niego?

Wiedziała, że to nieprawda, co mówił o dworze. Za czasów jej ojca, Nilsa Broderssona Huldta, prosperował znakomicie. Ale jej mąż, Emil, który stał teraz nad nią rozżłoszczony, szybko doprowadził posiadłość do ruiny. Bujne życie towarzyskie, jakie prowadził, kosztowało niemało. Obracał się w najwyższych kręgach towarzyskich, zapraszał bywalców dworu na wystawne przyjęcia, często jeździł do miasta. Wydatki miał nieograniczone.

Dziewczyna pomyślała z goryczą, że od dnia, w którym znaleźli skarb, spadały na nich same nieszczęścia.

A może kłopoty zaczęły się już wcześniej?

Może wtedy, kiedy ojciec powtórnie się ożenił i pod ich dachem zamieszkała macocha z dwojgiem dzieci. Ona, jej brat Bror i dwoje niewinnych maluchów, najmłodszych z czwórki rodzeństwa, zyskali nowych towarzyszy zabaw. Właściwie maluchy nie należały do tego kwartetu, jaki stworzyły nastolatki, były za małe. Ale Bror i ona znaleźli wspólny język z przybranym rodzeństwem... tak jej się przynajmniej wydawało. Przystojny, trochę arogancki Emil zawojował serce niedoświadczonej dziewczyny...

Czy to był początek wszystkich nieszczęść? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Wiedziała jednak, że skarb, ten niebezpieczny skarb, którego nigdy nie powinni szukać, zmienił całkowicie ich egzystencję.

Och, po co go w ogóle szukali? Po co wyszła za mąż tak pośpiesznie? Była przekonana, że ich miłość będzie trwać aż po grób! Zaklinała się, że nigdy w życiu nie pokocha innego. Ileż to dziewcząt tak młodych jak ona wpadło w podobną pułapkę? Jak mogła być taka naiwna?

A teraz przeżywała wstyd i upokorzenie. Strach o przyszłość. Samotność. Ten, którego kochała kilka krótkich miesięcy, teraz budził w niej wstręt.

Najgorsza była myśl o tych, którzy bezpośrednio odczuli konsekwencje jej decyzji: ojciec, brat i dwoje najmłodszego rodzeństwa. Już tak długo ich nie widziała!

- Gdzie są maluchy? - szepnęła. Bolał ją bok od smagnięcia szpicrutą. - Jak one się miewają?

- A skąd ja mam wiedzieć? Zapewne jest im dobrze! Żyją sobie spokojnie w Danii u

twego beznadziejnego ojca i mojej cudownej mamy. Ojciec pewnie ich rozpuszcza, tego możesz być pewna. Dziękować niebiosom, że mama ma więcej oleju w głowie. Wie, że dzieci trzeba trzymać krótko.

Dziewczyna właśnie tego obawiała się najbardziej. Pamięta, że serce jej krwawiło, kiedy wszyscy opuścili Hult i przenieśli się do Danii. Została sama ze swym mężem. Już wtedy, tak krótko po ślubie, uświadomiła sobie, że jej małżeńskie szczęście nie potrwa długo.

Teraz ulotniło się bez śladu.

Alvarowi Svantessonowi Befverowi z trudem udało się przedostać do Helsingör. Wkrótce miał odpływać prom na drugą stronę cieśniny.

Nie mógł zapłacić, ale umówił się z szyprem, że w zamian za miejsce na pokładzie pomoże przy załadunku i przy wyładunku.

Praca była zbyt forsowna dla osłabionego Alvara, ale zacisnął zęby. Musi wytrzymać!

Wraca! Wraca do Szwecji! Żeby tylko przedostać się do ojczystego kraju, dalej już sobie poradzi.

Alvar zdawał sobie sprawę, jak źle wygląda. Po kilku tygodniach zmagania się z gorączką miał wpadnięte głęboko oczy i wychudzone policzki. Ubrany był w podarty mundur. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że w kobietach taki widok budzi instynkt opiekuńczy. Był przystojny, z ciemnoblonde czupryną, w której latem odbijały się promienie słońca. Teraz jednak włosy pokrył brud i pot. Twarz można by uznać za bardzo pociągającą, gdyby okrucieństwa wojny nie zostawiły na niej trwałych śladów w kącikach ust i w oczach.

Ale nawet mimo fizycznej ruiny było w tym oficerze coś dostojnego i patrzyło się na niego z przyjemnością. Może dlatego, że udało mu się zachować równowagę psychiczną i uczciwość.

Niedaleka droga do Helsingör bardzo go zmęczyła. Osłabiony chorobą musiał odpoczywać po każdym przebytych kilometrze. Przemieszczał się wyłącznie nocami lub w największym skwarze południa, by nie narażać się na spotkanie żołnierzy wrogiej armii. Ale prawdziwe niebezpieczeństwo zagrażało mu z innej strony...

Odnosił nieprzyjemne wrażenie, jakby był prześladowany. Teraz zyskał już pewność, jaka jest tego przyczyna.

Ruszając w drogę, zawiesił na szyi skórzany worek Brora Nilssona Hulda. Jednak doznał wówczas uczucia takiej odrazy, że cisnął torebkę i rzucił się do ucieczki.

Wrócił jednak, wszak złożył obietnicę umierającemu chłopcu...

Wetknął worek do kieszeni wojskowego płaszcza, było trochę lepiej, w każdym

razie dało się z tym żyć. Dość dziwnym zbiegiem okoliczności dwukrotnie zapomniał zabrać płaszcz z miejsc, gdzie zatrzymywał się na odpoczynek. Ale roztargnienie pewnie należało przypisać osłabieniu po przebytej chorobie.

Wielokrotnie zmęczenie brało nad nim górę i pokładał się gdzieś przy drodze, by się przespać, mimo że pragnął jak najszybciej wrócić do rodzinnego kraju. Raz zasnął pod dębem niedaleko traktu. Było to tuż przed świtem. Przyśniło mu się, że jakaś stara kobieta o twarzy przesiąkniętej złem pochyła się nad nim i wpatruje weń z nienawiścią i pragnieniem mordu. Miała okropne, przerażające oczy!

Alvar obudził się z krzykiem. Oczywiście nikogo nie było w pobliżu, wystraszył jedynie jakąś zwierzynę, która uciekła daleko w pole. Szyję miał dziwnie spuchniętą, dudniło mu w skroniach, a oczy aż wyszły mu na wierzch.

Przez długą chwilę siedział jak sparalizowany, z trudem łapiąc oddech. Był przerażony do utraty zmysłów. Bał się zasnąć ponownie, wołał od razu ruszyć w dalszą drogę w jesienny szary poranek. Nad łąkami unosiła się mgła, ciemne niebo z wolna rozjaśniało się, zapowiadając nastanie nowego dnia.

Alvar nie mógł zapomnieć okropnej twarzy kobiety, która mu się przyśniła. I tych strasznych oczu...

Drgnął gwałtownie, bo uświadomił sobie, że znów zapomniał swego płaszcza. Kolejny raz musiał się po niego wrócić. Czy to przypadek? A może coś lub ktoś celowo usiłuje odciągnąć go od niego?

Kiedy dotarł do portu w Helsingör, zobaczył na nabrzeżu dwoje dzieci, siedzących na słupkach cumowniczych. Alvara nie zdziwił ten widok. Włóczęgę dzieciaki stanowiły codzienny obrazek na drogach Skanii i Danii. Bezdomne sieroty nie przykuwały niczyjej uwagi. Często dzieci łączyły się w gromadki i te grupy żyły własnym życiem, oddzielone od zasklepionych w sobie obywateli z wyższych warstw. Z czasem nędza zmuszała je do agresji. Stawały się coraz bardziej bezwzględne, kłamały, kradły, stanowiąc zagrożenie dla społeczeństwa.

Najmłodsze dzieci cierpiały najdotkliwiej. Starsi nie chcieli przyjmować ich do swego grona, często oni także cierpieli niedostatek.

Tak więc Alvar nie przejął się szczególnie tą dwójką. Widział już tak wiele nędzy, że przywykł do podobnych obrazków. Są pewne granice ludzkiej wrażliwości. Na widok tyłu nieszczęść człowiek zatracą współczucie, instynkt opiekuńczy. Jest to swoisty mechanizm obronny.

A mimo to było w tych maluchach coś, co przyciągnęło uwagę Alvara. Być może



wywołała to myśl o nadchodzącej zimie. Sprawiały wrażenie takich samotnych, głodnych, zdumionych nieczułością otoczenia. Chłopiec mógł mieć około pięciu lat. Trzymał opiekuńczo za rączkę młodszą, może trzyletnią dziewczynkę. Siedzieli ze wzrokiem utkwionym w przeciwległy brzeg, gdzie znajdował się Hälsingborg.

Rysy ich twarzy wydały mu się dziwnie znajome. Ale nie mógł sobie uświadomić, do kogo byli podobni.

Dzieci były urocze, mimo że nędza w widoczny sposób je dotknęła.

Alvar zamierzał usiąść na becze, która stała koło nich, podszedł więc i spontanicznie, nim zdołał się zastanowić, zapytał:

- Jesteście głodni?

Natychmiast pożałował, że w ogóle się odezwał. Co za idiotyczne pytanie!

Odwrócili zmęczone, brudne buzie w jego stronę.

- Tak - odpowiedział chłopczyk z nadzieją w głosie.

- Ja też - przytaknął Alvar. Czuł się okropnie, że nie może ich niczym poczęstować. -

Czekacie na prom?

- Musimy wracać do Matyldy - odezwała się dziewczynka. - Ona jest kochana. U niej będzie nam dobrze.

- Ale nie możemy przedostać się przez cieśninę - dodał chłopczyk.

- Długo już czekacie?

- Tak. Żeby popłynąć promem, trzeba mieć pieniądze - rzekł rozbrajająco rezolutnie.

Naraz dobiegł ich jakiś hałas. Nadjeżdżał powóz. Turkocząc na bruku, skierował się w stronę portu. Kiedy zatrzymał się przy nabrzeżu, stangret pomógł wysiąść dystyngowanej damie w żałobie. Po krótkiej wymianie zdań wpuszczono ją na pokład. Miała ze sobą tyle bagaży, że wszyscy musieli pomagać je wnosić.

Alvar obserwował tę scenę ze zdziwieniem i niechęcią.

- Niektórzy mają dobrze - mruknął pod nosem. Odwrócił się do dzieci, ale ich już nie było.

Usłyszał rozkaz podniesienia kotwicy. Raz jeszcze rozejrzał się wokół. Dzieci chyba opuściły nabrzeże w chwili, gdy on obserwował zajście.

Dreńczyły go wyrzuty sumienia, że nie pomógł tym biedactwom. Zmęczony i zniechęcony wszedł na pokład na samym końcu.

Prom odbił od brzegu.

I wtedy właśnie Alvar uświadomił sobie, że imię siostry, które Bror szeptał w malignie, brzmiało prawdopodobnie Matylda.

A te dzieciaki były podobne właśnie do Brora. Te same piękne, szlachetne rysy, takie same wielkie inteligentne oczy.

„Wszystko jej opowiedz! Nasze młodsze rodzeństwo... zostało wyrzucone. A może sami uciekli?”

Bror Nilsson był ciężko ranny. Czwórka rodzeństwa. Najwyraźniej jedyną osobą, w której spotkana przez Alvara trójka pokładała nadzieję, była starsza siostra Matylda. Bror powiedział, że wyszła za męża. Ale czy nie wspominał przy tym, że „źle wybrała”? Tak jak ojciec. Alvar nie pamiętał dokładnie. W każdym razie w posagu otrzymała dwór Hult, natomiast Bror miał odziedziczyć inny dwór, w Danii, który właśnie spłonął.

A niech to! Powinien zaopiekować się tą dwójką. Przynajmniej tyle mógł uczynić dla Brora, no i dla malców.

Usiadł na ławce w kącie pokładu. Zamyślił się. Poczł, że nie powinien się tak forsować, póki całkiem nie wydobrzeje. Poza tym ostatniej doby nic nie jadł. To się nigdy nie uda! pomyślał, gdy przed oczami zaczął mu tańczyć horyzont. Skulił się i zasnął.

Śniło mu się, że zewsząd otaczają go płomienie. Wił się i wrzeszczał jak opętany, starał się wydostać z piekielnego ognia. Ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Oczy? Znow zobaczył te ohydne oczy, pałające żądzą zemsty.

Mary nawiedzały go jeszcze tylko przez chwilę, bo osoba śmiertelnie zmęczona śpi snem sprawiedliwych. Kiedy wracał do stanu świadomości, znow pojawiły się te oczy. Drgnął i wtedy zobaczył, że ktoś patrzy na niego przez czarny woal. Obok siedziała dama z powozu, no i oczywiście nigdzie się nie paliło. Alvar był całkiem roztrzęsiony. Zrobiło mu się głupio, że tak się przeraził.

Kobieta podniosła woalkę. Okazało się, że jest to stosunkowo młoda osoba, może około czterdziestoletnia. Kiedy Alvar spojrzał na nią, w jej wzroku pojawił się błysk. Nie zdawał sobie sprawy, jak pięknym błękitem lśni jego oczy, kontrastując z ubrudzoną twarzą. Bijąca od niego woń stajni zdawała się nie zrażać nieznajomej.

Zaraz jednak odwróciła wzrok, jakby uraził jej cześć. Chociaż to przecież ona pierwsza...

Alvar rozgniewał się. Wstał i oparłszy się o burtę, spoglądał na piękne Öresund.

Do diabła! Przecież nawet do głowy by mu nie przyszło ją zaczepiać. Na taki rodzaj flirtów nie miał najmniejszej ochoty. Ale żeby prowokować spojrzeniem mężczyznę, a potem udawać zbrukana niewinność, to oburzające!

Tak naprawdę Alvar ledwie trzymał się na nogach. Uchwycił się kurczowo relingu, bo wszystko mu wirowało przed oczami. Właściwie dotrzeć do portu udało mu się jedynie siłą

woli. Posuwał się naprzód gnany pragnieniem powrotu do ojczystego kraju. Teraz, kiedy był już prawie u celu, nastąpiło odprężenie.

Jeden z marynarzy stanął obok niego, spoglądając na oddalający się łód.

- Ma pan krzepę, kapitanie - zagadnął. - Ale chyba się pan trochę przeforsował przy załadunku.

- Chyba tak - uśmiechnął się Alvar z wysiłkiem.

O mój Boże, pomyślał, czy ktoś jeszcze jest w stanie rozróżnić dystynkcje na tym podartym brudnym mundurze? Przerzucony niedbale wojskowy płaszcz wisiał na relingu.

- Daleko ma pan do domu?

- Tak. Pochodzę z Uppland. Ale najpierw muszę dotrzeć w jedno miejsce na północy Skanii. Obiecałem pewnemu umierającemu chłopcu, że dostarczę coś jego siostrze, która tam mieszka. Pan rozumie, sprawa honorowa. Zaraz potem udam się do domu. Marzę o tym, by się wyspać i najeść do syta...

Alvar zamierzał wspomnieć marynarzowi o dzieciach i prosić, by pomógł im przedostać się do Szwecji, ale ten, życząc mu powodzenia, pośpiesznie odszedł.

Tak jakby się źle czuł w towarzystwie Alvara?

Trudno się dziwić, skoro Alvar sam ze sobą nie czuł się dobrze.

Nigdy wcześniej kapitan nie był w tak marnym nastroju jak po ucieczce z niewoli. Nigdy też wcześniej nie nawiedziło go tak przemożne pragnienie, by uciec od samego siebie.

Dama przed chwilą także odeszła na bok. Rozmawiała ze swym stangretem, który również płynął promem. Mówili zapewne o Alvarze, bo raz po raz spoglądali w jego stronę. Zgadywał na odległość, że nie wyrażają się o nim pochlebnie.

Właściwie rozumiał ich. Sam, delikatnie mówiąc, czuł się podle. Ale świadomość, że inni także uważają, iż jest odpychający, bardzo go przygnębiła.

Przeprawa na drugą stronę cieśniny nie trwała długo. Zanim Alvar zszedł na łód, udało mu się zamienić kilka słów z marynarzem, z którym rozmawiał wcześniej. Marynarz obiecał, że jeśli spotka dwoje małych dzieci, weźmie je na pokład i przewiezie do Szwecji. Wiedział, że wiele dzieci głoduje i że nastały dla nich ciężkie czasy. Jeśli tylko się uda, przewiezie chłopca i dziewczynkę do ojczystego kraju.

Alvarowi trochę ulżyło. Gdyby mógł, wróciłby zabrać rodzeństwo, ale jego siły były na wyczerpaniu i nie miał już nic, czym mógłby zapłacić za podróż.

Na damę czekał nowy powóz. Stangret podszedł do Alvara, który wycieńczony przycupnął na becze.

- Moja pani chciałaby zaoferować miejsce w powozie szwedzkiemu kapitanowi.

Alvar zdumiał się.

- Ależ to zbyt wielka łaskawość! Jestem źle ubrany, cuchnę stajnią, nie...

- Pan kapitan będzie siedział oczywiście na koźle obok mnie.

- A w takim razie serdecznie dziękuję, zgadzam się.

Stangret Alvarowi nie przypadł do gustu. I, zdaje się, niechęć była obopólna. A mimo to wolał siedzieć na koźle w jego towarzystwie aniżeli w środku powozu, gdzie musiałby przez kilka godzin prowadzić konwersację z tą niesympatyczną, wyfiokowaną damą.

W duchu postanowił, że wysiądzie z powozu, jak tylko nadarzy się okazja.

Stangret był Duńczykiem i jego chlebodawczyni również - poznał to po akcencie. Jej liczne bagaże oznaczone były inicjałami N.B.H.

Powóz ruszył. Alvar rzucił ostatnie spojrzenie w stronę duńskiego wybrzeża.

Poczuł ulgę, że w końcu wydostał się z kraju, przeciwko któremu walczył na wojnie i w którym potem musiał znosić szyderstwa i upokorzenia.

Równocześnie jednak ogarniała go rozpacz na myśl, że zostawił w tym nieprzyjaznym kraju troje rodzeństwa: bezradnego Brora i dwoje maluchów, którym na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności nie udało się pomóc. Pewnie bardzo ich rozczarował, on, dorosły. Najpierw spytał idiotycznie, czy są głodne, nie mając przy sobie nic, czym mógłby je poczęstować. A potem stracił dzieci z oczu i nie pomógł im dostać się na prom.

Alvar odczuwał wstyd i był na siebie wściekły.

Kiedy milczenie stało się zbyt uciążliwe, stangret zapytał kapitana o jego pobyt w Danii. Pytanie z serii podchwytliwych, jakich Alvar nie cierpiał. Mężczyznę interesował szczególnie jego pobyt w stajennym lazarecie. Ciekaw był, kogo Alvar tam ostatnio spotkał i dokąd teraz zamierzał się udać. Szwedzki kapitan odpowiedział krótko i zwięźle, nic nie ukrywając. No, może z wyjątkiem historii dwojga małych dzieci. Właściwie sam nie rozumiał dlaczego, ale nie zdradził się nawet słowem. Może myśląc o nich odczuwał zbyt wielki ból? A może to woźnica był zbyt wścibski?

Do Hälsingborga przybyli późnym wieczorem. Nie przejechali całej trasy, jaką zaplanowali, bo zaskoczyły ich ciemności. Musieli zatrzymać się na nocleg.

Alvar przypuszczał, że dama go pożegna, tymczasem postarała się o pokój dla niego i zaprosiła na kolację.

Alvar był w tak kiepskiej formie, że przyjął jej propozycję z wdzięcznością. Wiele miesięcy upłynęło, od czasu kiedy jadł normalnie, a myśl o kąpieli w drewnianej balii oraz o wygodnym łóżku wydała mu się taka nęcąca, że nie był w stanie odmówić.

Nie zdawał sobie sprawy, jak złego dokonał wyboru.

## ROZDZIAŁ IV

Co się stało z moim życiem? zastanawiała się Matyllda. Mój wspaniały Emil... Księżę z bajki.

Czy rzeczywiście jestem taką złą żoną, że musi mnie upokarzać i trzymać pod kluczem?

Nie, to nie ja zawiniłam.

Nie rozumiem, gdzie tkwił błąd.

Służbie powiedział pewnie, że zachorowałam na jakąś śmiertelnie niebezpieczną chorobę. Ciekawe, co wymyślił. A zresztą, jakie to ma znaczenie?

Zawsze mi powtarzano, że ludzie, którzy nikogo nigdy nie kochali, zasługują na współczucie. Bo nie ma nic cudowniejszego niż miłość, nawet jeśli nie została odwzajemniona.

Ale to nieprawda. W związku dwojga ludzi partner, którego uczucie jest silniejsze, znajduje się na straconej pozycji i nie ma w tym bynajmniej nic cudownego ani wielkiego.

Upokorzenia, jakich doznaje, potrafią zabić w nim wiarę i szacunek dla samego siebie.

Moja miłość umarła. Nie Kocham Emila, pomyślała Matyllda, ale natychmiast zalała ją fala wyrzutów sumienia. Kościół głosi, że kobieta winna kochać swego męża. Kochać? Winna mu posłuszeństwo.

Nigdy nie przypuszczała, że rana w sercu może tak krwawić. Wszystkie jej marzenia o miłości legły w gruzach.

Miłość nie istnieje.

Gdyby mogła zaufać choć jednej osobie! Ale ojciec, wspaniały, kochany ojciec nie żyje. Zginął w płomieniach podczas pożaru dworu w Danii.

Nie potrafiła oprzeć się myśli, że nie zasłużył na taki koniec. Nie rozpaczałaby tak, gdyby to spotkało macochę, matkę Emila.

O, nie, wybac mi, Boże, nie wolno tak myśleć. Choć prawdą jest, że nie mogliśmy ścierpieć macochy, Bror i ja. Dla maluchów także była niedobra. Całe szczęście, że przeprowadziła się do Danii. Szkoda tylko, że ojciec nalegał, by trójka jego dzieci pojechała wraz z nimi.

Co się stało z Brorem? Gdzie są teraz maluchy? Dzięki Bogu, żadne z nich nie zginęło w tym dziwnym pożarze, który wybuchł podobno w sypialni ojca. Bror wydostał go z płomieni i wyniósł na dwór, ale okazało się, że jest za późno.

Wszystkie te informacje Emil przekazał jej z trudem skrywając triumf.

Jak długo zamierzał ją tu więzić?

Zastygła w bezruchu. Ktoś zbliżał się do drzwi.

Naturalnie był to jej mąż. Sądząc po krokach, znów solidnie podpity. Zawsze, gdy się upił, zmuszał ją do współżycia. Jednak do tej pory, o ironio, ani razu nie sprawdził się w łóżku jako mężczyzna...

Matylda skuliła się, czując wstręt na samą myśl, że mógłby jej teraz dotykać. Brzydziła się nim tak strasznie, że ją samą niejednokrotnie to przerażało.

Emil wszedł do pokoju. Był przystojny jak młody bóg, choć pomimo półmroku Matylda dostrzegła, że zmienił się w ostatnim czasie. Twarz mu nabrzmiała, oczy dziwnie się szklily. Sylwetka straciła młodzieńczą prężność. Włosy, które zazwyczaj skrywał pod modną peruką, wyglądały tak, jakby ich od dawna nie cesał. Chodził w poplamionej kamizelce, zupełnie się tym nie przejmując.

Ledwie trzymał się na nogach. Zwalił się ciężko na łóżko, omal nie przewracając Matyldy siedzącej na brzegu pościela. Podniósł się jednak i nachyliwszy się nad nią, usiłował uchwycić jej spojrzenie. Poczula od niego alkohol.

- A jak się dziś miewa moja tak zwana małżonka? - wybełkotał. - Nie, nie, lepiej nie odpowiadaj, mam dość twojego zrzędzenia.

Matylda instynktownie cofnęła się, choć wiedziała, że to go rozwścieczy.

Nie pomyliła się, wymierzył jej siarczysty policzek. Na szczęście jednak uderzając ją zatoczył się, więc zbytnio nie ucierpiała.

- Znowu zamierzasz się awanturować? - ryknął. - znowu nic ci nie pasuje? To ja przychodzę tutaj w przyjaznych zamiarach, a ty ciągle jesteś niezadowolona. Czego właściwie chcesz?

Matylda nic nie odpowiedziała.

Jej cichy upór rozdrażnił Emila. Chwycił ją więc mocno i powalił na łóżko. Dziewczyna wiedziała dobrze, że nie ma sensu bronić się przed nim. Ileż to razy walczyła z mężem i musiała ulec. Teraz więc, miast tracić siły w szamotaninie, zachowywała się biernie, by jak najszybciej było po wszystkim.

Emil przez to musiał starać się w dwójnasób, walczył ze swą słabością i kompletnym brakiem zainteresowania z jej strony. Nie miał odwagi spojrzeć jej w twarz, zdając sobie sprawę, że wymalowana jest na niej wielkimi literami niechęć i wstręt do niego. I znowu mu się nie powiodło. Po raz kolejny.

Nigdy dotąd nie odnosił podobnej klęski w kontaktach z kobietami. A tymczasem jego

męskość zawodziła za każdym razem, gdy był w łóżku z własną żoną!

Nie mógł ścierpieć takiego upokorzenia. Poderwał się z krzykiem i oskarżeniami, że to ona jest wszystkiemu winna. Nie potrafił go rozpałcić, a poza tym jest taka brzydka i odpychająca, że on choćby nie wiadomo jak się starał, nie jest w stanie wypełnić swego małżeńskiego obowiązku. Tak, obowiązku! I to przykrego, bo trudno zmusić się do zbliżenia z kobietą tak mało pociągającą. Czy trudno się dziwić, że szuka pociechy gdzie indziej?

Nie panując nad słowami, ranił jej uczucia, by odwrócić uwagę od faktu, że sam się nie sprawdził. On, który puszył się, że jest wspaniałym kochankiem, nie potrafił sprostać roli męża. Co za wstyd!

Nagle jego twarz oblekła się chłodem.

- Oko za oko, ząb za ząb, sama tego chciałaś - szepnął groźnie. - Powiedziałem ci, dostaniesz jedzenie i wyjdiesz stąd, jeśli powiesz, co zrobiliście ze skarbem. Moja sytuacja jest dramatyczna, zbliżają się terminy spłaty długów. A chyba nie chcesz, by twój ukochany dom rodzinny poszedł pod młotek? - zakończył z sarkastycznym grymasem.

- Emil, ja naprawdę nie wiem...

Widziała zimną i bezwzględną twarz. Och, jakże mogła nie dostrzec wcześniej tego chłodu w spojrzeniu. Musiała być kompletnie zaślepiona miłością.

Słowa, które wyrzekł, dobiły ją.

- Oddaj mi skarb, a oszczędzę to twoje smarkate rodzeństwo. Są w moich rękach. Jeśli nie udzielisz mi informacji, o które proszę, zlikwiduję najpierw jedno z nich, powiedzmy Hermana. A jeśli nadal nie będziesz mówić, swe młode życie zakończy również Beda.

Matylda zastygła z przerażenia. Nie miała pojęcia, że Emil blefuje.

- Ależ ja nic nie wiem! - krzyknęła.

Mąż jednak już wyszedł, przekręcając klucz w zamku.

Dziewczyna siedziała zraniona, upokorzona i przerażona na myśl o dzieciach.

- Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! - szeptała bezsilna i kompletnie załamana.

Alvar Befver, mimo że nosił oficerskie szlify, nie jadł w towarzystwie łaskawej damy. Wymył się wprawdzie od stóp do głów, ale jego mundur nadal cuchnął stajnią.

Zresztą z przyjemnością nie skorzystał z tego przywileju. Dama nie odezwała się do niego przez całą drogę, ale zauważył ukradkowe spojrzenia, jakie mu posyłała. O co jej chodzi? Ma ochotę na przygodę? A może interesowała się nim z innych przyczyn? Może chce mu zlecić jakieś zadanie? Przecież bez powodu nie proponowałaby mu podwiezienia i nie zaprosiła na kolację. Co prawda posiłek spożywał w kuchni wraz ze stangretami i służbą, ale

mimo wszystko!

A może po prostu trafił na przyjazną duszę?

Westchnął, bo jego sytuacja nie przedstawiała się najlepiej. Miał ochotę napisać do matki i ojca, dać znak, że żyje i że wraca do domu, choć może jeszcze upłynąć trochę czasu, nim dotrze na miejsce. Ale nie stać go było nawet na papier do pisania, nie wspominając już o pieniądzech na wysłanie listu.

Mówiąc otwarcie, nie posiadał niczego. Kompletnie niczego, bo nawet postrzępione ubranie, jakie miał na sobie, było własnością wojska.

Od pewnego czasu Alvar bał się zasypiać. Zupełnie jak młody Bror.

Ale w końcu sen go zmorzył. Łóżko wydawało mu się takie miękkie w porównaniu z niewygodną twardą pryczą w stajennym lazarecie.

Alvar panicznie obawiał się snów, bo od czasu gdy wydostał się z niewoli, śniły mu się wyłącznie koszmary. Te straszne oczy... i uczucie, jakby ktoś go dusił.

Obojętnie jak walczyłby ze snem, i tak natychmiast nachodziły go koszmary.

Ale nie były do siebie podobne.

Teraz też wydawało mu się, że ktoś jest w pokoju. To był jeden z tych okropnych snów, które dzieją się dokładnie w miejscu, gdzie człowiek śpi. Ktoś stał obok jego łóżka. Ale to nie była ta okropna kobieta o kłującym spojrzeniu. Mimo to Alvar chciał krzyknąć i odpędzić nie znaną postać, ale ciało nie słuchało sygnałów wysyłanych przez mózg.

Płaszcz? Co ten ktoś chce zrobić z jego płaszczem?

Ale oto postać zniknęła, a Alvar wbrew wcześniejszym obawom zapadł w głęboki, spokojny sen.

W środku nocy obudziły go krzyki i wołanie o pomoc, a także charakterystyczne trzaski.

Pożar!

Alvar poderwał się i szybko założył ubranie. To, co mu się przyśniło, nie miało odbicia w rzeczywistości. Jego wojskowy płaszcz wisiał na miejscu. Nikt go nie zabrał.

Cała gospoda została postawiona na nogi. Na korytarzach i schodach tłoczyli się ludzie, przekrzykując się nawzajem.

Kiedy Alvar wydostał się na dziedziniec, wydawało się mu, że pożar szybko został opanowany.

Naraz drgnął i zastygł jak porażony.

Na ławce leżał nieruchomo znajomy stangret. Był poważnie poparzony.



- To u niego zaczęło się palić - odezwał się jakiś młody chłopak głosem, w którym przebijała nuta sensacji.

Alvar wpatrywał się w nieszczęśnika. Jego odzież prawie doszczętnie spłonęła, ale na szyi miał zawieszony skórzany mieszek Brora Nilssona. Torebka dosłownie wypaliła dziurę w piersi stangreta, sama zaś pozostała nie uszkodzona.

Alvar pomacał kieszeń. Była pusta.

A więc to tak, pomyślał. Oto proste wytłumaczenie mojego snu. Zdaje się, że powoli zaczynam rozumieć niektóre sprawy. Na przykład dlaczego tak spokojnie dziś spałem.

Założę się, że stangret bynajmniej nie miał przyjemnych snów. Może śniło mu się, że ktoś go dusi? Nie, myślę, że raczej pożar.

I zapewne złe, pałające nienawiścią oczy świdrowały go na wylot...

No nie, przecież nie jestem przesądny! Pojawiła się znajoma dama w zarzuconym w pośpiechu szlafroku, krzycząc histerycznie. Uwaga wszystkich gapiów skupiła się na niej. Alvar wykorzystał tę krótką chwilę i zerwawszy z szyi stangreta skórzany mieszek Brora Nilssona, uciekł pośpiesznie.

Bo w jednej chwili zrozumiał to, co do tej pory było dlań niejasne.

Dzieci nieprzypadkowo zniknęły z nabrzeża w chwili, gdy pojawił się powóz. One po prostu ukryły się przed jego pasażerką.

Bagaż oznaczony inicjałami N.B.H. Jeśli syn nazywał się Bror Nilsson, to nazwisko ojca brzmiało prawdopodobnie Nils Brorsson, albo, co było częściej spotykane, Brodersson. Tak, Nils Brodersson Huldt, ten który zginął podczas pożaru dworu. Ojciec Matyldy, Brora i dwojga maluchów.

Miałby Alvar kontynuować rozwiązywanie tej łamigłówki i zgadywać, dlaczego spalił się dwór w Danii, dlaczego spłonął ojciec tych dzieci, na myśl o których Alvarowi serce się krajało?

Bezwiednie dotknął kieszeni swego płaszcza.

Biegł na oślep, zastanawiając się, czy powinien wracać do Hälsingborga i szukać dzieci, co uczyniłby najchętniej, czy też pośpieszyć do dworu Hult, który pewnie znajdował się już niedaleko, by zdążyć przed matką Brora?

Nie, ta kobieta nie zasługiwała na miano matki, żadna matka bowiem nie traktowałaby swych dzieci tak by ze strachu się przed nią ukrywały. To musiała być macocha, gdyż żadne z dzieci nie było do niej podobne. Ta trójka, którą spotkał na swej drodze, miała w sobie wrodzoną szlachetność. Nieznajoma zaś, choć odziana w eleganckie szaty, wydawała się wulgarna. Pewna siebie i piękna, ale pozbawiona serca. I ta kobieta zawojowała właściciela

dworu!

„Oboje źle wybrali”, szeptał Bror.

Zarówno siostra Matylda, jak i ojciec dokonali złego wyboru.

Alvar już zdecydował, w którą stronę się uda. Bror powiedział, że czas nagli, Alvar zaś potrzebował pomocy Matyldy, by wszystko zrozumieć. Gdyby tylko nie czuł się tak okropnie! Jego kondycja psychiczna była znacznie gorsza od fizycznej, choć i ta pozostawiała wystarczająco wiele do życzenia.

Ale szczęście mu dopisywało. Nadjechał wóz pocztowy i życzliwy pocztylion pozwolił mu wsiąść. Raz jeszcze zamiast zapłaty przyjęto jego propozycję pomocy.

Wóz nie jechał aż do Hult, ale jego stała trasa wiodła niedaleko dworu. Alvar miał więc szansę dotrzeć na miejsce znacznie wcześniej niż przypuszczał. Wprawdzie wóz pocztowy zatrzymywał się tu i tam, żeby wziąć pasażerów, odebrać korespondencję, dostarczyć listy i paczki, przyjąć zamówienia i wiadomości dla krewnych i przyjaciół o chorobach, śmierci, urodzeniach, ale Alvar i tak bardzo zyskiwał na czasie.

Uświadomił sobie, jak ważną rolę odgrywa w życiu człowieka wóz pocztowy. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślał.

Czuł się fantastycznie, pomagając pocztylionowi i pasażerom. Niestety, wielu brało go za człowieka krzepkiego, a on, nie chcąc nikogo zawieść, dźwigał skrzynie i kufry, choć absolutnie nie powinien był tego robić.

Ale czuł się potrzebny i to sprawiało mu ogromną radość.

Wreszcie dotarli na miejsce i pocztylion wskazał mu drogę do dworu. Ostatni odcinek pokonał pieszo.

## ROZDZIAŁ V

Nad morzem, nad lasami i łąkami należącymi do dworu Huk unosiła się gęsta mgła. Słysząc było ptasie trele, choć teraz u progu jesieni nie brzmiały tak pięknie jak w wiosennej porze godów. Alvara doszedł klangor żurawi, lecących kluczem na południe. W zaroślach słyszał świergot mniejszych ptaków. Niestety, nie znał nazw poszczególnych gatunków. Tyle ich było: śpiewaków dających swe koncerty w gęstym listowiu, w zaroślach, ogrodach. W tej niezwyklej chwili zespolenia z naturą żałował ogromnie, że nie potrafi ich rozróżnić.

Jednak Alvar zauważył, że ptaki milkły, gdy się zbliżał. Wprawdzie nie było w tym nic osobliwego, bo przecież na ogół ptaki reagują tak na obecność ludzi, ale tym razem kapitan wyczuwał w tej ciszy śmiertelną trwozę.

Westchnął ciężko. Właściwie dobrze rozumiał te skrzydlate stworzenia. Marzył o tym, by odrzucić jak najdalej od siebie skórzaną torebkę. Ale przecież złożył obietnicę, no i był już tak blisko celu podróży.

Alvar zbliżył się do dworu od strony lasu. Pocztylion dokładnie wytłumaczył mu, jak iść, więc nie obawiał się, że zabłądzi.

Przed nim znajdowała się niewielka łąka, dalej zagajnik, a za nim zabudowania. Dokładnie tak jak wytłumaczył mu pocztylion.

Nagle Alvar kolejny raz poczuł przemożną ochotę, by pozbyć się skórzanej torebki Brora. Tym razem tak silną, że z trudem powstrzymał się, by nie uczynić tego, co nakazywał mu instynkt. Ale przecież musiał dotrzymać słowa.

Gdy zbliżył się do zagajnika, oblał go zimny pot.

Przypomniał sobie, że kiedy zrywał torebkę z szyi poparzonego stangreta, była otwarta. Przystanął i sięgnął po nią do kieszeni, ale nie był w stanie utrzymać jej w rękach, więc trzymał ją na długim pasku jak najdalej od siebie.

Mogło by się zdawać, że to, co było w środku, jest żywe albo że ma duszę. Duszę na wskroś przesiąkniętą złem.

A gdyby tak sprawdził, co kryje skórzany mieszek?

W ostatniej chwili przypomniały mu się słowa Brora: „Tylko pamiętaj, obojętnie co by się działo, pod żadnym pozorem nie otwieraj torebki!” Chyba nie mówił tego poważnie. Poza tym na pewno mieszek był już pusty. Skoro stangret go otworzył, to zapewne zabrał zawartość, cokolwiek by to było.

Ale nie, torebka zdawała się ważyć tyle samo co przedtem. Ze względów

praktycznych, choć jakby wbrew własnej woli, wetknął ją na powrót do kieszeni płaszcza. Uczynił to pośpiesznie, by się nie rozmyślić i nie wyrzucić jej jak najdalej od siebie.

Kiedy Alvar dotarł do zagajnika, poczuł znów gwałtowny przyptyw strachu. Stał w gęstym lasku mokrym od rosy i mgły.

Dreszcz nieznanego lęku przebiegł mu po plecach.

- Jest tu ktoś? - zawołał i naraz zrobiło mu się głupio, że mówi na głos.

Nikt nie odpowiedział. Ale mógłby przysiąc, że nie był w lesie sam. Czuł niemal namacalnie, że ktoś go obserwuje.

Rozejrzał się wokół przerażony.

Stał obok niewielkiego pagórka porośniętego drzewami i krzewami. Kawałek dalej znajdowało się strome zbocze, więc znalazł się jakby w dolinie.

Podniósł oczy i ujrzał, że wierzchołki drzew kołyszą się groźnie.

Skąd ten wiatr? Przecież poranek był taki cichy, mgła unosiła się nad łąką, nic nie mąciło spokoju.

A może to wcale nie wiatr? Co to za szepty słychać w koronach drzew?

Listowie szumi i drży, jakby czymś przestraszone.

No nie, opanuj się, człowieku!

Wspiął się na pagórek i spojrzał za siebie w dół.

Na jednym ze zboczy znajdowała się dziura, jakby nora wygrzebana przez lisa czy borsuka.

Zamyślił się.

Niektórzy ludzie potrafią wyczuć obecność zwierzęcia. Może on również został obdarzony taką zdolnością? Może właśnie w pobliżu jest jakieś żywe stworzenie?

Alvar uświadomił sobie naraz, że stoi nieruchomo jak zamieniony w słup soli. Odetchnął głęboko, by nabrać powietrza w płuca.

Czy to możliwe, by tak śmiertelnie przerazić się jakiegoś zwierza? pomyślał. Stoi tu błądź ze strachu. Dość tego, musi wziąć się w garść.

Ale w tej samej chwili poczuł, że się dusi. Spuchła mu szyja. Alvar bezwiednie wykonał ruch, jakby chciał odsunąć czyjeś dłonie. Ale to było tylko złudzenie. Naszła go całkiem idiotyczna myśl, że przecież jeszcze nie otworzył torebki!

Dudniło mu w skroniach. Wyrażenie: „pociemniało mu w oczach” nie jest prawdziwe, pomyślał jak przez mgłę. Raczej jest to kolor krwistoczerwony, przechodzący w bordo, czerwone kręgi nikną, a zaraz potem pojawiają się nowe. Grzmot w uszach jest nie do zniesienia, a dla oczu i języka jakby brakło miejsca.

Ostatkiem sił rzucił się naprzód i bez ducha wytoczył z zagajnika... Na oślepnął przed siebie, jakby chciał czym prędzej opuścić to miejsce.

Upadł i na czworakach uciekał przez ściernisko, nie bacząc na to, że rani sobie dłonie i kolana. Coś innego zajmowało jego umysł.

Już się nie dusił, był wolny.

Wolny... Dziwne. Wolny przed czym?

Tak, teraz już wiedział. W czerwonych kręgach, jakie zaćmiły mu wzrok, ujrzał parę emanujących złem oczu, pełnych nienawiści i wściekłości.

Mój Boże, co to było? dziwił się, próbując wstać.

Ale oto z mgły, niczym zamek widmo, wyłonił się dwór, bardzo piękny, pobielony, z ciemnymi okiennicami. Alvar obszedł zabudowania i skierował się w stronę głównej bramy.

Brama była zamknięta. Zaskoczyło go to, bowiem o tej porze dwory zwykle tętniły codziennym życiem. Zastukał. Po chwili uchyliło się okienko w bramie, przez które wyjrzał stajenny.

- Szczęść Boże - pozdrowił go Alvar. - Nazywam się Alvar Svantesson Befver i jestem kapitanem w gwardii króla Karola X Gustawa. Mam wiadomość dla panny... przepraszam, pani Matyldy.

W oczach mężczyzny odmalowało się zdziwienie.

- Do pani Matyldy? Przecież ona jest chora!

- Strasznie mi przykro, ale to bardzo ważne.

Mężczyzna zdawał się być całkiem zbity z tropu.

- Zawołam pana - rzekł w końcu.

- Nie zamierzam stać w bramie niczym nędzny posłaniec. - W głosie Alvara zabrzmiała surowość, jakby karmił swego podwładnego.

Przerażony robotnik dworski wpuścił go do środka.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł. - Zaraz zawołam pana.

Alvar powoli przechadzał się po dziedzińcu zagospodarowanym ze smakiem. Na każdym kroku znać było kobiecą rękę. Teraz jednak wyglądało tak, jakby nikt nie dbał o kwiaty, alejki, sadzawkę. Wszystko powoli niszczało. Ale drzewo przed budynkiem mieszkalnym, które według ludowej tradycji miało chronić dwór przed nieszczęściem, wyrosło doprawdy okazałe.

Alvar rozglądał się dookoła i ze zdziwieniem dostrzegł, że okno na jednej ze ścian domu, na rogu, jest zabite. Zaciekało go to. Salon, kuchnia, jadalnia... Próbował rozeznaczyć się w lokalizacji, a ponieważ orientował się dobrze, jaki jest tradycyjny rozkład pomieszczeń

w dużych szwedzkich dworach, szybko ustalił, że okno należy do sypialni.

Dziwne!

Ale oto z budynku wyszedł bardzo przystojny mężczyzna i zdecydowanym krokiem skierował się ku Alvarowi.

- Bardzo mi przykro - zaczął - ale moja żona nie może pana przyjąć. Jest poważnie chora. Czy mogę w czymś pomóc?

- Mam dla niej bardzo ważną wiadomość od brata.

- Mogę jej przekazać.

Alvar otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie odezwał się. Zdecydował, że wykona do końca zadanie, którego się podjął. Ten młody przystojniak nie przypadł mu do gustu. Od biedy może zniosłby jego arogancję, która na ogół świadczy o głupocie. Jednak nie spodobał mu się błysk przebiegłości w jego oczach. Ten mężczyzna był niebezpieczny.

- Niestety - rzekł sucho Alvar. - Obiecałem Brorowi Nilssonowi Huldtowi, że przekażę wiadomość osobiście. Może lepiej będzie, jeśli wrócę tu, gdy pani wyzdrowieje? Do zobaczenia!

- Proszę poczekać! - zawołał zarozumiały dziedzic. - Gdzie pan spotkał mojego szwagra, Brora Nilssona, kapitanie Befver?

Alvar spojrzał na niego badawczo.

- Niestety, nie mogę panu powiedzieć. Ta wiadomość jest przeznaczona wyłącznie dla uszu pańskiej żony - rzucił i pośpiesznie wyszedł przez bramę.

Zaskoczony mąż Matyldy nie potrafił zrewanżować się równie ostrą repliką. W milczeniu spoglądał na odchodzącego Alvara, który przypominał sobie słowa Brora: „Matylda źle wybrała. Ojciec także”.

I naraz wszystko stało się jasne. Kapitan sam domyślił się tego, o czym nie wspomniał mu Bror: Matylda wyszła za mąż za syna swej macochy. Jakże ogromne podobieństwo istniało między matką a synem!

Dzieci zapewne razem się wychowywały. Nie, chyba jednak nie. Przecież najmłodsza z rodzeństwa dziewczynka miała niespełna trzy lata, a więc matka dzieci prawdopodobnie zmarła po przyjściu jej na świat, może nawet podczas porodu. Potem wdowiec Nils Brodersson Huldt dostał się w szpony wyfiokowanej damulki, która zaoferowała Alvarowi miejsce w powozie.

Tak więc dzieci nie znały się aż tak długo. Ale Matylda, z którą Alvarowi nie udało się spotkać, zapewne była wówczas w takim wieku, kiedy człowiek zakochuje się ślepo, wyłącznie ze względu na urodę. Zresztą jej ojciec uczynił podobnie. Wybrali matkę i syna... i

oboje, jak twierdził Bror, źle trafili.

Alvar, który zdążył poznać i matkę, i syna, przyznał mu w duchu rację.

Rozejrzał się wokół. Oto znalazł się na pofałdowanej skańskiej ziemi, położonej malowniczo na wybrzeżu. Choć odprawiono go z kwitkiem, nie zamierzał rezygnować z wypełnienia powierzonej mu misji. Postanowił dostać się do chorej Matyldy, obojętnie co miałyby się zdarzyć.

## ROZDZIAŁ VI

Matylda usłyszała głosy w sąsiednim pokoju.. ?

O, nie! Teściowa wróciła z Danii. Jeszcze tylko tego brakowało.

Teściowa i macocha w jednej osobie. Oba określenia budziły emocje niezależnie od epoki. O jednej i drugiej krążyły żarty, na jedną i drugą pomstowano. Większość Bogu ducha winnych kobiet, którym przypadła rola teściowych i macoch, nie zasługiwała na tyle niechęci.

Ale matka Emila idealnie odpowiadała panującej powszechnie opinii o teściowych.

Matylda nie chciała dawać wiary ludzkiemu gadaniu i za jednym zamachem popełniła dwa błędy.

Jak mogła być taka naiwna? Przecież powinna wiedzieć, czego się spodziewać! Nigdy nie udało jej się nawiązać kontaktu z kobietą, która po śmierci matki zajęła jej miejsce. Przeciwnie, istniała między nimi ukryta wrogość. Nigdy się nie rozumiały, właściwie nawet nie próbowały się zrozumieć. Zbyt wiele je różniło. Jak mogła więc być taka głupia, by wybrać sobie tę samą osobę na teściową?

Zza ściany dochodziły podniesione głosy.

- A co miałam robić? - mówiła matka Emila. - Gdzie miałam mieszkać? W spalonym dworze? Pytasz mnie, co tu robię? To tak dbasz o swą matkę? Zapomniałeś już, komu zawdzięczasz Hult? Przecież to ja przekonałam Nilsa, byś tu zamieszkał z Matyldą, a nie Bror. To ja się postarałam, by ten tchórz dziedziczył jedynie dwór w Danii, ongiś stanowiący własność mego pierwszego męża, znacznie mniejszy i o wiele gorszy niż ten. A ty śmiesz mnie pytać, co tu robię?

- Ależ nie. Oczywiście, że jesteś tu mile widziana, mamó. Możesz u nas zamieszkać. Jestem jednak trochę zdenerwowany, bo mam kłopoty z Matyldą...

- A czegoś się spodziewałeś? Przecież to uparte dziewczyszko.

- Cóż, musiałem się poświęcić, żeby zapewnić sobie prawo do dworu.

- No tak, masz rację. Chyba nie udałoby mi się przekonać Nilsa, żeby przekazał Hult swemu pasierbowi. Co innego, gdy zostałeś zięciem, to znacznie wzmocniło twoją pozycję.

Matylda usłyszała, jak teściowa opadła ciężko na krzesło. Miała taki osobliwy sposób siadania.

- Nie mogę pojąć, co tak naprawdę się stało w naszej posiadłości w Danii - zaczęła zrezygnowana. - Pożar wybuchł w pokoju Nilsa. Emilu, potrzebuję pieniędzy...

- Ja nie mam pieniędzy. Interesy tutaj idą nie najlepiej...



- Wstydu nie masz, chłopcze. Chyba nie przepuściłeś wszystkiego?

- Niestety, życie na pewnym poziomie kosztuje - burknął Emil urażony. - Ale mamy przecież skarb. Jest wart więcej niż oba dwory razem wzięte. Gdyby tylko udało mi się nakłonić Matyldę, by powiedziała, gdzie go ukryła.

- A skąd Matylda ma wiedzieć? Przecież to Nils go zabrał.

- Co?!

- Tak, kiedy wyprowadzaliśmy się do Danii, zapakowaliśmy skarb. Uznaliśmy, że będzie najlepiej, jeśli weźmiemy go z sobą. Tamtego feralnego wieczoru Nils zaniósł skórzaną torebkę do swego pokoju, by dokładnie obejrzeć klejnot. W tym czasie ja pojechałam złożyć wizytę mojej dawnej przyjaciółce. Kiedy wracałam, z daleka ujrzałam dym, a gdy dotarłam do domu... Było już po wszystkim. Nils nie żył, a z dworu pozostało pogorzelsko.

- A co ze skarbem?

- Zniknął...

- Zniknął? Cholera! Wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie.

Emil chyba zastanawiał się nad czymś, bo na moment zapadła cisza. Śmiercią teścia najwyraźniej mniej się przejął niż utratą skarbu.

W końcu rzekł:

- A właśnie... Dziś z rana był tu jakiś mężczyzna i twierdził, że ma wiadomość dla Matyldy od Brora. Nalegał, że chce ją przekazać osobiście, więc wyrzuciłem go za bramę.

- Kapitan? - spytała bezbarwnym głosem matka.

- Chyba tak. Zdaje się, że miał na sobie jakiś mundur.

- Ależ z ciebie głupiec! - krzyknęła. - Przecież on miał skarb! Chciał go oddać Matyldzie. Mojemu stangretowi udało się wykraść torbę z klejnotem. Ale w zajeździe także wybuchł pożar, a kapitan zabrał skórzaną torebkę i udało mu się zbiec.

- A więc Bror miał skarb. Ten mięczak!

- Tak, przerwałeś mi i nie opowiedziałam ci wszystkiego do końca. Tego wieczoru kiedy wybuchł pożar, w domu razem z Nilsem został Bror i te smarkacze. Martwego ojca znalazł właśnie Bror. Prawdopodobnie ukradł skarb i zbiegł. Służba widziała, jak uciekał na koniu. Kiedy pożar został ugaszony, przeszukałam pogorzelsko, ale nie znalazłam skózanego mieszka.

- Przeklęty Bror - syknął Emil. - Z nim zawsze były same kłopoty!

Rozmowa urwała się, gdyż matka i syn wyszli z pokoju.

Matylda siedziała skulona, zaciskając dłonie. A więc Bror był bezpieczny. Ale co z

maluchami, z Hermanem i Bedą? Co się z nimi stało? Czy przyjechali razem z macochą?

Roztrzęsiona z trudem oddychała. Ktoś tu był i pytał o nią. Dlaczego, dlaczego nie pozwolono jej porozmawiać z tym kapitanem?!

Jeszcze nigdy sytuacja nie wydawała się jej taka beznadziejna.

Kapitan Alvar Svantesson Befver nie zamierzał bynajmniej dać za wygraną. Wiedział już nawet, w jaki sposób przedostanie się do dworu. Z okolicznych łąk zwożono siano. Dwie załadowane fury wjechały właśnie przez bramę na teren posiadłości.

Kiedy kapitan z ukrycia obserwował robotników na polu, zauważył, że nadjeżdża jakiś wóz zaprzęzony w dobrze utrzymanego konia.

Z daleka można było poznać, że powozi nim bogaty ziemianin.

Alvar wyszedł na drogę, a wtedy wóz się zatrzymał.

- Aż się serce kraje, gdy człowiek patrzy, jak tu wszystko marnieje - odezwał się mężczyzna, który najwyraźniej miał ochotę na pogawędkę. - Po wyjeździe Nilsa Broderssona zabrakło gospodarza!

- Rzeczywiście, szkoda takiego pięknego dworu jak Hult - przytaknął Alvar w nadziei, że sprowokuje nieznanego do rozmowy.

- Hult, Hult - rzekł ten wyraźnie wzburzony. - Przecież ten dwór wcale się tak nie nazywa!

- Jak to? - Alvar spojrzał na niego zdziwiony.

- Prawdziwa nazwa brzmi Huld. Właściciele dobrze o tym wiedzą, ale utrzymują to w tajemnicy.

- Dlaczego?

Nieznajomy wyraźnie się uradował, że ma przed kim zabłysnąć.

- No cóż, dwór jest stary, można nawet rzec, prastary. Jego historia tonie w mroku dziejów.

- Widać, że jest pan człowiekiem wykształconym - pokiwał głową Alvar. - Czy mógłby pan uczynić mi ten honor i opowiedzieć co nieco o tym miejscu? Nie kryję, że interesuje mnie to z powodów osobistych. Bror Nilsson Huldt był... jest moim przyjacielem.

- To Bror nie opowiedział panu historii Huld?

- Nie. Wydaje mi się, że jest tak, jak pan mówi. Unika tego tematu, jakby wywoływał w nim ponure skojarzenia.

Alvar wymyślił tę historyjkę na poczekaniu, mężczyzna jednak kiwał głową, jakby w jego słowach znalazł potwierdzenie swych wcześniejszych przypuszczeń.

- Bror to właściwie dobry chłopak - powiedział. -Zresztą cała rodzina Broderssonów to przyzwoici ludzie. Mam na myśli oczywiście pierwszą żonę Nilsa i ich czworo dzieci.

Nie dodał nic więcej. Alvar sam dopowiedział sobie, co nieznajomy sądzi o obecnym gospodarzu Hult albo Huld. Jakież znaczenie mogła mieć jedna litera?

- Ród Inglingów... - zaczął nieznajomy i zawiesił głos, czekając, jakie wrażenie wywrze na rozmówcy.

- Aha... - Alvar czuł, że musi powiedzieć cokolwiek.

Ale nieznajomemu to nie wystarczyło. Wpatrywał się w Alvara w napięciu, jakby dając mu szansę powiązania oczywistych, w jego mniemaniu, faktów.

- Dzieje rodu Inglingów sięgają odległych czasów - rzekł w końcu, nie kryjąc rozczarowania, że Alvar nie dostrzega wyraźnego związku pomiędzy wspomnianym rodem a dworem.

W tym momencie kapitan doznał nagłego olśnienia. Przypomniał sobie strofy sag Snorrego Sturlussona.

- Pamiętam. W szkole uczyłem się na pamięć całych wersetów „Sagi o Inglingach”. Za recytację zebrałem wiele pochwał! - Alvar ucieszył się, że ma szansę zrehabilitować się trochę w oczach swego rozmówcy.

- Proszę, niech pan wsiądzie - zaprosił go mężczyzna. - Zdaje się, że przeżył pan ciężki czas. Był pan ranny na wojnie?

- Zgadza się. Dzięki za zrozumienie dla żołnierza - rzekł Alvar i wdrapał się na wóz. - Przyda się trochę wytchnienia obolałym stopom. Przeszedłem dziś szmat drogi. Prawda, co z tymi Inglingami, niech no ich wymienię. - Zaczął wyliczać na palcach: - Agne, Alrek, Erik, Ingjald, Alf, Jorund, Ane Stary, Egil Tunnadolg, Ottar Vendelkraka, Adils...

- Chwileczkę... - Przygodny znajomy powstrzymał go ruchem ręki. - Zaimponował mi pan, kapitanie, ale ci królowie wywodzą się z czasów niezbyt odległych. Tutaj chodzi o najstarszą gałąź rodu!

- Ależ w takim razie musimy się cofnąć w czasie o setki lat!

- Prawdopodobnie protoplastą rodu był Yngvi-Freyr, inaczej bóg Frey. Miał syna Fjolnera, ten zaś Sveigdera, potem następował Vanlande, Visbur, Domalde, Domar, Dyggve i Dag....

Alvar oniemiał. Pamiętał, co Bror szeptał w gorączce. Wprawdzie wówczas wydawało mu się, że słyszał „Vanland, Donald...” Dlaczego od razu nie skojarzył sobie tego z „Sagą o Inglingach”? Przecież znał ją prawie całą na pamięć!

- Chyba zaczynam rozumieć - wyszeptał. - Hulda... - zaczął, ale zreflektował się, że

powinien pozwolić nieznanemu trochę pobrylować. - Jak to było z Huldą?

Mężczyzna przyjął ten gest z wyraźną wdzięcznością.

- A więc Hulda była czarownicą, w jej żyłach płynęła fińska krew. Posłała po nią żona króla Vanlanda, która także pochodziła z kraju Finów, kiedy jej mąż udał się do Uppsali, siedziby królów, i nie wracał stamtąd przez dwie zimy. Pragnęła się na nim zemścić. Wiedźma nasłana przez Huldę opętała Vanlanda, prawie doprowadzając go do obłędu. Towarzysze usłyszeli jego przeraźliwy krzyk i pospieszyli mu na pomoc. Omal jednak nie połamali nóg, gdyż wiedźma i na nich zesłała czary. Zawrócili więc, a wtedy ona udusiła Vanlanda.

- Uff - jęknął Alvar. Powoli zaczynały mu się wyłaniać kontury całej historii, jakkolwiek brzmiało to wszystko wielce nieprawdopodobnie.

Droga, którą jechali, prowadziła aż do pięknego wybrzeża. Alvar obserwował ptaki, które urządziły tu sobie postój w długiej wędrówce do ciepłych krajów. Nadeszła już jesień. Lasy przyoblekły się gdzieś w złotą szatę, choć nadal zieleń stanowiła dominującą barwę.

Bogaty gospodarz z wyraźną lubością ciągnął swą niesamowitą opowieść sprzed wieków:

- A potem wynikła sprawa z Visburem, synem Vanlanda. Prowadził on hulaszczę życie i uwodził cudze żony, skłócając ze sobą kobiety i ich synów. Jedną z kochanek obdarował cennym naszyjnikiem, który niegdyś dał w prezencie ślubnym swojej żonie. Synowie upomnieli się o własność matki, gdy Visbur ją porzucił. On jednak zwlekał ze zwrotem klejnotu. Wówczas synowie zdecydowali się szukać pomocy u Huldy. Ta rzuciła klątwę na cały ród. Złoty naszyjnik miał odtąd przynosić nieszczęście. Synowie zmówili się, że zabiją ojca. Huldę mieli po swej stronie. Przepowiedziała ona, że tak już pozostanie na zawsze w rodzie Inglingów: krewni wzajemnie odbierać będą sobie życie.

- No, a co się stało z Visburem? - ciekaw był Alvar.

- Synowie podburzyli jego towarzyszy, otoczyli chatę, w której spał, i podłożyli ogień.

- Tylko tego brakowało - mruknął Alvar pod nosem.

- Po nim władzę przejął syn Visbura, Domalde. On nie brał udziału w spisku dwóch braci, ale to w niego uderzyła klątwa Huldy.

- Zapewne i jego losy nie potoczyły się najlepiej?

- Oczywiście. W czasie jego panowania w Uppsali nadeszły lata nieurodzaju i w końcu jego własny lud złożył go w ofierze na ołtarzu.

Alvar miał już dosyć krwawej historii Inglingów. Zapytał więc:

- A co to wszystko ma wspólnego z tutejszym dworem?

- No więc według sag Hulda, która przybyła do Uppsali z dalekiej Finlandii, została za swe usługi hojnie obdarowana. Ale potem tamtejszy lud skazał ją na wygnanie za uprawianie czarów. Uciekła do kraju Sweanów, gdzie zabito ją i pogrzebano. Ludzie na dworze jednak udawali, że o niczym nie wiedzą.

Alvar, zwróciwszy oczy ku niewielkiemu pagórkowi, mówił jak w transie:

- Została pochowana w tym dziwnym kopcu na tyłach zabudowań, prawda?

- Eee, możliwe - trochę niepewnie odpowiedział mężczyzna.

Ale Alvar nie miał co do tego cienia wątpliwości. W tym kopcu ktoś grzebał - i to nie był ani borsuk, ani lis, lecz młodzi ludzie, poszukiwacze skarbów. Odnaleźli naszyjnik Huldy, który wiedźma wzięła jako zapłatę za czary. Schowali go w skórzanej torebce.

Alvar przypomniał sobie, że kiedy przechodził tamtędy, czuł wyraźnie czyjąś obecność.

Czy to była sama Hulda?

Zmarszczył czoło. Wydawało mu się, że zrozumiał wszystko, choć nadal niektóre szczegóły były dla niego niejasne. Jak to się stało, że ci, którzy pochowali tu Hulde, nie zabrali jej klejnotu? Dlaczego zagrzebali tak bezcenny przedmiot w ziemi?

Przecież ludzka chciwość i pazerność także przed wiekami nie była mniejsza. Nikogo by nie zdziwiło, gdyby zabójcy starej wiedźmy ograbili ją z kosztowności.

Coś się więc tutaj nie zgadza!

Ale i tak informacje, jakie przekazał mu napotkany mężczyzna, wiele mu wyjaśniły. Podziękował więc mu pięknie i pożegnał się.

## ROZDZIAŁ VII

Kiedy robotnicy na polu poszli coś zjeść, Alvar wśliznął się na załadowany prawie do pełna wóz i ukrył się w sianie.

Żeby tylko nie zasnął, pomyślał. Tak tu wygodnie, a ja jestem śmiertelnie zmęczony. Że też człowiek chory mógł się w ciągu ostatnich dni zdobyć na taki wysiłek!

Uśmiechnął się z goryczą.

Płaszcz umieścił jak najdalej od siebie. Zatrzymaj sobie swoje skarby, Huldo, pomyślał cierpko. Ja w każdym razie nie zamierzam ci ich ukraść.

Pomyślał tak celowo, by stara wiedźma zostawiła go w spokoju.

Choć raczej powątpiewał, by mogła ona odebrać sygnały wysyłane przez jego mózg.

Kosiarze wrócili. Alvarowi włos się jeżył, kiedy mimowolnie słuchał ich rozmowy. Chłopcy rozprawiali o walorach okolicznych dziewcząt, wdając się przy tym w bardzo intymne szczegóły.

Lata żołnierskiego życia uodporniły wprawdzie Alvara, ale to, co przypadkiem doszło jego uszu, bardzo go wzburzyło. Poczul, jak wstępuje mu na twarz rumieniec wstydu. Żadna kobieta nie zasłużyła sobie na to, by tak o niej mówiono!

Dokładali na wóz coraz więcej siana. Jeszcze trochę, a się udusi. Kurz dostał mu się do nosa i gardła. Strasznie się bał, że za chwilę kichnie.

Ale na szczęście nic takiego się nie stało.

Długa chwila minęła, nim mógł wygrzebać się z wozu w stodole, nie zauważony przez nikogo.

Udało się! Dostał się do dworu.

Co teraz? zastanawiał się.

I właśnie wtedy, gdy leżał zamknięty w stodole, naszły go niebezpieczne myśli.

Przecież to czyste szaleństwo, bzdury! Właściwie co stoi na przeszkodzie, bym otworzył torebkę i zobaczył, co kryje w środku. Mam wierzyć w babskie gadanie i głupie przesady? Dawać wiarę histerycznym reakcjom ludzi zacofanych, którzy wmawiają sobie, że naszyjnik jest przeklęty?

„Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo”, powtarzał Bror w gorączce.

I oto jeszcze jedna niejasność. Bror powiedział: „Nas czworo”. Kim była czwarta osoba?

Leżał bezpiecznie w wygodnym zagłębieniu tuż przy drewnianej ścianie stodoły. Miał pewność, że nie zabraknie mu świeżego powietrza.

Już poluzował rzemyk przy skórzanym mieszk, kiedy znów poczuł się tak, jakby ktoś go dusił.

Pośpiesznie zamknął więc torebkę. Może to i przesady, ale ryzykować nie miał odwagi.

Ten skarb jest groźny, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zbyt wiele się wydarzyło w związku z nim, by uznać to wyłącznie za zbieg okoliczności.

Odsunął płaszcz z nieprzyjemną zawartością kieszeni jak najdalej i nie zważając na nic, ułożył się do snu. Jego organizm domagał się odpoczynku. Jeśli chce posunąć się naprzód w rozwikłaniu tej wielce skomplikowanej historii, musi nabrać trochę sił.

Udało mu się ustalić rozkład pomieszczeń w budynku dworu. Niestety, od strony, gdzie leżał, nie było połączenia z domem. Będzie musiał więc przejść przez dziedziniec, by dotrzeć do sypialni, w której prawdopodobnie została uwięziona Matylda. Wchodziło się tam przez kuchnię i przez salon. Czekало go niełatwe zadanie.

Był jednak zdecydowany je wykonać.

Obudził się, gdy na dworze zaczynało zmierzchać. Głód znów dał o sobie znać. Ale nie miał czasu o tym myśleć, bo nadeszła pora działania.

Niestety, przespał kilka godzin i stracił w związku z tym orientację, gdzie kto teraz się znajduje. Służby się nie obawiał, coś wymyśli na poczekaniu, by uspić jej czujność.

Jedyną osobą, której nie chciał spotkać, był ten zarozumiały bubek, nieznośny snob, z którym rozmawiał rano. Miałby spore trudności, by wytłumaczyć mu swą obecność we dworze.

Wstał i rozprostował ściernięte członki. Przedostał się do wrót stodoły. Zanim wymknął się na zewnątrz, starannie wytrzepał z włosów i z ubrania żdźbła siana.

Wreszcie doprowadził się do jako takiego porządku. Na szczęście wrota stodoły nie skrzypiały. Wymknął się ostrożnie i ukrył za wielką studnią. Potem wśliznął się do kuchni. Szczęśliwie nie spotkał żywej duszy. Był w budynku!

Chyba państwo udali się na spoczynek, bowiem także salon stał pusty. W wieczornym półmroku zdołał wszakże zauważyć, że w tym dość dużym pomieszczeniu niewiele jest miejsc, które nadawałyby się na kryjówkę. Mógłby się ewentualnie schować za krzesłami pod oknem. Ale wtedy widać by go było z zewnątrz...

Dwie pary drzwi. Które z nich wybrać?

Był zdezorientowany, brakło mu pewności. Jeśli teraz dokona niewłaściwego wyboru, cały trud może pójść na marne.

Bał się nawet pomyśleć, co się stanie, jeśli zostanie zauważony w obcym domu.

W powietrzu unosił się ostry zapach perfum.

Wydał mu się znajomy.

Kiedy leżał w stodole... Uświadomił sobie, że coś go wtedy przebudziło. A potem przez sen dobiegły go jakieś hałasy, obce głosy i wzmożony ruch na podwórzu. Stukot końskich kopyt na brukowanym dziedzińcu, lżejszy, bardziej elegancki niż ciężkie stąpania koni używanych do pracy w polu. Czyżby przyjechali jacyś goście? Albo ktoś wyjechał?

A może to tylko powozy zostały odprowadzone do powozowni?

Alvar nie mógł sobie przypomnieć i rozzłościł się na siebie samego. Coś mu jednak mówiło, że to nie Matylda używa takich ostrych perfum. Znał ten zapach, ale skąd?

Tak, dama w powozie! Macocha dzieci, które spotkał na przystani.

Czy to ona przyjechała?

Oj, marny jego los, jeśli ta okropna kobieta wejdzie do salonu i odkryje tu jego obecność.

W gęstniejącym mroku rozpaczliwie usiłował podjąć decyzję, które drzwi wybrać. Wtedy usłyszał jakiś dźwięk.

Wśluchiwał się w napięciu.

Ktoś zalił się w mroku.

Płacz kobiety albo dziecka.

Tak, teraz już wiedział, gdzie jest Matylda.

Na palcach podszedł do drzwi. Bał się zapukać, nacisnął więc lekko klamkę.

Były zamknięte.

Jeśli prawdą jest, że dziewczyna leży ciężko chora, to przecież nie zamknęła drzwi od środka. Alvar przesunął dłonią nad framugą. Znalazł klucz!

Teraz tylko ostrożnie.

Przekręcił klucz w zamku.

Płacz ucichł.



## ROZDZIAŁ VIII

Matylda siedziała napięta jak struna. To chyba nie Emil, ale przecież nikt inny tu do niej nie przychodzi.

Drzwi uchyliły się bezgłośnie i do środka wśliznął się bezszelestnie jakiś mężczyzna.

Co ten Emil znowu wymyślił? Chyba nie wynajął jakiegoś zbira, żeby... odebrał jej życie? Chociaż już nic jej nie zdziwi, jeśli chodzi o męża. Jest chorobliwie żądny władzy, a przy tym na wskroś zły.

A może to ten kapitan, który pytał o nią?

Dobry Boże, spraw, by to był on!

- Matylda? - usłyszała obcy szept.

Oczy Matyldy przyzwyczajone do ciemności spostrzegły wysokiego mężczyznę w mundurze. Czy nie jest to szwedzki oficer? Trudno ocenić, może to tylko jej pobożne życzenie.

- Kim pan jest? - spytała, a w jej głosie wyczuć można było zarówno strach, jak i nadzieję.

- Proszę się nie obawiać - szepnął i podszedł bliżej.

Uderzył ją w nozdrza ostry zapach stajni. Odruchowo poderwała się na równe nogi i cofnęła gwałtownie.

- Niech się pani nie boi - powtórzył. - Nie jestem złodziejem, nie zrobię pani nic złego.

- Ukłonił się lekko i dodał: - Nazywam się Alvar Svantesson Befver, jestem kapitanem w armii szwedzkiej. Przybywam z posłaniem od pani brata.

Dzięki, dobry Boże.

- Och, spotkał pan Brora? - spytała gorączkowo. - Jakże on się miewa?

Bezwiednie wykonała kilka kroków w przód i stała teraz tuż obok Alvara.

- Jest pani taka szczupła, niepozorna - rzekł ten zdziwiony. - Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie osobę, w której całe rodzeństwo pokłada swą ufność.

Jego słowa wprawiły ją w zakłopotanie, ale od razu wyłowiła z nich informację, której była tak spragniona.

- A więc spotkał pan także Hermana i Bedę? Co z nimi? Czy ona jest dla nich dobra?

- Obawiam się, że wieści, które przynoszę, nie są zbyt pomyślne - rzekł z ubolewaniem. - Teraz jednak musimy czym prędzej stąd uciekać.

- Założę buty, a pan niech w tym czasie opowiada. O Boże, czy rzeczywiście

wydostanę się z tego więzienia?

- Naturalnie.

Stanął przy oknie i odwrócił się tyłem, by Matylda swobodnie przebrała się w ciepłą odzież i włożyła buty.

- Niestety, nie mam szczególnych powodów do dumy - westchnął. - Byłem zmuszony pozostawić Brora w stajennym lazarecie w Danii razem z wieloma opuszczonymi żołnierzami szwedzkimi. Sam ledwo wylizałem się z ran i nie miałem dość siły, by go dźwigać taki kawał drogi. Był... bardzo chory i poparzony.

- Wiem - wyszeptała. - Próbował wynieść ojca z płonącego budynku. Ale co z dziećmi? Wie pan coś o nich?

- Tak. Największe wyrzuty sumienia odczuwam właśnie z ich powodu. Mogłem im pomóc... a nie uczyniłem tego.

Opowiedział o epizodzie, którego był świadkiem na przystani w Helsingör. A także o tym, że zbyt późno zorientował się, iż dzieci są rodzeństwem Brora. Potem usiłował naprawić swój błąd i poprosił innych ludzi, by pomogli przedostać się maluchom przez cieśninę Öresund.

- Ale proszę mi powiedzieć, czy one... same uciekły z domu, czy zostały wyrzucone?

- Bror tego nie wiedział. Ja też nie. Ale macocha w ogóle się nimi nie interesowała. Nawet słowem o nich nie wspomniała.

- Biedne dzieciaki... - Matylda szlochała bezgłośnie.

- Czy pani jest ciężko chora? - spytał.

- Chora? Wcale nie jestem chora. Byłam tu... przetrzymywana wbrew własnej woli. Wołałabym nie mówić, przez kogo.

- Tego akurat nietrudno się domyślić - rzekł Alvar. - Nie rozumiem tylko, z jakiego powodu?

- Chciał, żebym mu powiedziała, gdzie schowałam skarb. Bo nie powiedziałam panu jeszcze, że kiedyś udało nam się odnaleźć skarb, który sprowadził na nas same nieszczęścia. Ale ja nie miałam pojęcia, gdzie on jest. Dopiero dziś, kiedy przyjechała moja teściowa...

- A więc to ona? Tak mi się właśnie wydawało, że słyszałem turkot powozu.

- Tak, to ona - powiedziała Matylda cierpko, zawiązując troczki peleryny. - Podśluchałam jej rozmowę z Emilem i stąd wiem, że Bror uciekł ze skarbem.

- Bror mi go przekazał - oświadczył Alvar. - Ukryłem go w kieszeni płaszcza. Nie mogłem nosić torebki na szyi.

- Rozumiem. To dlatego cofnęłam się, gdy pan wszedł. Nie pojmowałam swojej

reakcji, wydawało mi, się, że może tak podziałał na mnie zapach stajni. Nie mam pojęcia, dlaczego, ale ten skarb wydaje mi się śmiertelnie niebezpieczny. A może to tylko urojenie?

- Nie sądzę!

- Wydaje mi się, że Bror myślał dokładnie o tym samym, co ja w tej chwili. Wiedział, co powinniśmy zrobić.

- Zakopać go z powrotem w kopcu, prawda?

- Tak, to jedyne rozwiązanie.

Podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce, ale jej nie nacisnęła.

- Bror wspominał, że było was czworo. Kim jest ta czwarta osoba? - zainteresował się Alvar.

- Siostra Emila, Vivian - rzekła Matylda i dreszcz przeszedł jej po plecach. - Schowaliśmy skarb do skórzanej torebki, Vivian ukradła go i ukryła w swoim pokoju. Nie wiem, czy chciała go sprzedać, czy po prostu zagarnąć dla siebie. Ona nie żyje - dodała bezbarwnym głosem. - Bror i ja zostaliśmy oskarżeni, że ją udusiliśmy.

Alvar pokiwał głową ze zrozumieniem. Matyldzie najwyraźniej coś jeszcze leżało na sercu, ale nie próbował jej ponaglać.

- Jak wygląda ten skarb? - spytał.

- To bardzo stary wisior ze szczerego złota, niebywale cenny. Emil z matką znaleźli już nawet kupca.

- Kiedy go wykopaliście? Czy na długo przed wyjazdem rodziców do Danii?

- Tak, Vivian nie od razu ukradła naszyjnik, dlatego też nikt z nim nie kojarzył jej śmierci. Ale tuż po moim ślubie z Emilem, przed przeprowadzką ojca i macochy do Danii, w pokoju Vivian robiono gruntowne porządki. Wtedy właśnie na dnie szafy znaleziono torebkę ze skarbem. Prawdopodobnie cisnęła go tam Vivian, przerażona do utraty zmysłów. Ojciec i macocha zabrali skarb do Danii, ale ja o tym nie wiedziałam. Nawet mój mąż nie miał o tym pojęcia. Dziś pokłócili się z matką, kto jest właścicielem naszyjnika. Zdaje się, że w końcu zgodzili się podzielić po połowie zapłatą, jaką za niego dostaną - dodała Matylda z goryczą.

- Proszę powiedzieć, czy pani mąż i macocha uświadamiają sobie, jak niebezpieczny jest ten naszyjnik?

- Nie, wydaje mi się, że nigdy nie dostrzegali związku między nim a nieszczęściami, jakie się wydarzyły. Po prostu zaślepiła ich żądza bogactwa.

- Znakomicie - mruknął Alvar tajemniczo.

- Możemy już wychodzić?

- Tak, ale musimy zachować ostrożność - ostrzegł Alvar.

- Emil z matką wyjechali do miasta na spotkanie z kupcem.

Kapitan roześmiał się i odetchnął z ulgą.

- A więc niepotrzebnie tak się skradałem.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi. Nie wiem, ile osób spośród służby trzyma ich stronę.

- Przypuszczam, że nieliczni.

Matylda obrzuciła Alvara uważnym spojrzeniem i rzekła:

- Doskonale rozumiem, dlaczego Bror powierzył panu nasze tajemnice, kapitanie Befver.

- Dziękuję. Może jednak ustalimy jakiś plan działania. Od czego zaczniemy?

- Pójdziemy zakopać skarb w tym samym miejscu, gdzie został znaleziony - odparła bez wahania.

Alvar przypomniał sobie słowa, które Bror szeptał w gorączce: „Zanieść na miejsce... zwrócić...”

Wreszcie zrozumiał ich sens.

- A potem maluchy! - dodała Matylda.

- Właśnie o tym myślałem. Poza tym musimy odszukać Brora i udzielić mu pomocy. Oby tylko nie było za późno.

- Wierzę, że zdążymy. Tak bardzo go kocham. Wie pan, kapitanie, zauważyłam, że doskonale się rozumiemy, chyba myślimy podobnie - uśmiechnęła się z niedowierzaniem, odczuwając coraz większą sympatię do tego człowieka. - Proszę poczekać jeszcze chwilę. Myślę, że rozsądnie będzie zabrać ze sobą trochę gotówki. Nie wiadomo, kiedy tu wrócę.

- Słusznie. Przez Danię i Skanię przejechałem wprawdzie bez grosza przy duszy, ale to bardzo kłopotliwe, a przy tym człowiek doznaje tylu upokorzeń. Pragnę jednak panią zapewnić, że kiedy tylko dotrę do Uppland, do mego rodzinnego domu, oddam wszystko, co pożyczyłem...

Matylda podniosła rękę i powiedziała:

- O tym porozmawiamy później.

Na moment zniknęła w drugim pokoju. Alvar pomyślał o tej drobnej istocie, która rozplynęła się w mroku. Znał ją krótko, ledwie chwilę. Od razu jednak dostrzegł, że jest ulepiona z tej samej szlachetnej gliny, co poznana wcześniej trójka rodzeństwa. Jakie to tragiczne, że osoba tak wrażliwa poślubiła takiego aroganckiego bubka. Do końca życia będzie nieszczęśliwa, związana przysięgą małżeńską.

- Mam na szczęście swoje kryjówki, o których Emil nie wie - uśmiechnęła się Matylda, wróciwszy z sąsiedniego pokoju. - Nie chciałabym obmawiać mojego męża, ale

niestety dość szybko zorientowałam się, jakie jest jego nastawienie do pieniędzy.

- Ja również zdążyłem się o tym przekonać - rzekł krótko Alvar.

Kiedy chyłkiem przemykali się przez pustą kuchnię, powiedział cicho:

- Jedno się w tym wszystkim nie zgadza.

- O, myślę, że niejasności jest wiele.

- Ale chodzi mi teraz o skarb. Przecież ta niezwykle cenna ozdoba ze złota pochodzi prawdopodobnie z trzeciego wieku naszej ery. Należała do wiedźmy Huldy, prawda?

- Tak utrzymują wszystkie legendy związane z naszą okolicą.

- Dlaczego coś tak cennego zakopano razem ze zniechęconą czarownicą? Przecież również w tamtych czasach nie brakowało ludzi chciwych.

- Na pewno! Ale przekonaliśmy się już, jak śmiertelnie niebezpieczny jest ten skarb. Dla ówczesnych ludzi zapewne także stanowił zagrożenie. Dlatego postanowili się go pozbyć i zagrzebali w ziemi razem ze zwłokami tego paskudnego babsztyla.

Alvar uśmiechnął się rozbawiony określeniem, jakim się posłużyła Matylda. Zastanawiał się, ile też może mieć lat. Oceniał ją najwyżej na dwadzieścia.

- To nie jest zwykły klejnot, chyba pan to rozumie, kapitanie Befver.

- Dlaczego?

- Jeśli wierzyć sagom, Visbur ofiarował go swojej żonie w prezencie ślubnym. Potem Hulda odprawiła nad nim czary. Odtąd przekleństwo miało dotyczyć wszystkich wielkich ludzi w rodzie Inglingów i sprawiać, że najbliżsi krewni będą stawali przeciwko sobie i zabijali się wzajemnie. Naszyjnik przechodził z rąk do rąk i wreszcie trafił do kolejnego potomka Inglingów, króla Agne...

- Król Agne uznawany jest za pierwszego historycznego króla Szwecji - wtrącił Alvar.

- Zgadza się. I wie pan, jaką okrutną śmiercią zginął ten władca.

- Tak. Został uduszony i powieszony na gałęzi na swym naszyjniku. Wydarzyło się to na południowych przedmieściach obecnej stolicy, Sztokholmu.

- Znakomicie. Widzę, że pan doskonale orientuje się w naszej historii. Jaka to przyjemność znów rozmawiać z człowiekiem wykształconym... Ale oto dochodzimy do sedna sprawy. Po śmierci króla Agne wiedźma zabrała przeklęty klejnot i uciekła na południe. W pogoń ruszył za nią tłum rozwścieczonych poddanych. Pragnęli ukarać Huldę za kradzież, a także za czarodziejskie praktyki.

- Ale przecież to niemożliwe - zaproponował Alvar, zapominając że muszą rozmawiać szeptem. - Hulda nie mogła żyć tak długo! Po raz pierwszy pojawia się w czasach Vanlanda, który panował pod koniec trzeciego wieku. Potem nadeszła kolej na króla Visbura, Domalda,

Domara, Dyggve, Daga, no i Agne. Nieprawdopodobne, aby przeżyła tylu królów.

- Dlaczego nie? - rzekła Matyllda z zapalem, szczęśliwa, że wreszcie ma z kim porozmawiać. Być może była to pierwsza rozmowa z kimś inteligentnym, odkąd Bror i ojciec opuścili granice Szwecji. - Proszę mnie posłuchać, kapitanie! Królowie w tamtych czasach niedługo siedzieli bezpiecznie na tronie...

- Zgoda.

- A Agne, ostatni z nich, według źródeł pisanych umarł na początku piątego wieku.

Oboje całkiem zapomnieli, że powinni się spieszyć.

- No właśnie, od końca trzeciego do początku piątego wieku! To około dwustu lat! Oczywiście, że nie jest to możliwe.

Matyllda nie ustępowała.

- Przecież określenie dat jest tylko przybliżone. Dopuszczalny błąd może wynieść nawet kilkanaście lat. O pierwszych królach nie zachowały się żadne wzmianki historyczne, dowiadujemy się o nich jedynie z sag. Nie mam wątpliwości, że oni naprawdę istnieli, ale przecież nie jest to potwierdzone w żadnych materiałach źródłowych. Po drugie, żaden z ówczesnych władców nie panował długo, o tym już wspominaliśmy, a po trzecie, Hulda była czarownicą i znała się na magii.

- O, co do tego nie mam żadnych wątpliwości!

- Załóżmy więc, że kiedy sprowadziła śmierć na Vanlanda, była bardzo młoda. A przecież mogła dożyć stu dwudziestu lat. Czy można to wykluczyć?

- Jeśli chodzi o czarownice, wszystko jest możliwe. Miały swoje sposoby na przedłużenie życia. A ta stara wiedźma, która pojawiała się w moich snach... Widziała ją pani, à propos?

- Tak! Pierwszej nocy po odnalezieniu skarbu wszyscy śniliśmy koszmary. Okropne koszmary. Świdrujące oczy, prawda?

- Właśnie. I ohydna pomarszczona twarz starej, ba, prastarej kobiety.

- Zgadza się - przytaknęła Matyllda. - Takiej starej twarzy nie widziałam jeszcze u żadnej staruszki.

- No cóż, poddaję się. To mogła być Hulda. Niewykluczone, że żyła tak długo, a ten naszyjnik jest zapewne tym samym, na którym zawisł król Agne.

- Wszystko wydaje się mieć logicznie uzasadnienie. Ten wisior jest przesycony złem, ciąży na nim przekleństwo. W nim ma źródło przemoc i agresja, która ciągle na nowo się odradza.

- To prawda - przyznał Alvar.

- Ale teraz pośpieszmy się już. Nie możemy ryzykować spotkania z Emilem. On nie rozstaje się z bronią.

- Ja natomiast nie jestem uzbrojony, a poza tym nie całkiem jeszcze doszedłem do siebie po odniesionych ranach.

Odruchowo podała mu dłoń i chyłkiem wykradli się z budynku na dziedziniec.

## ROZDZIAŁ IX

- Jak dziwnie znowu znaleźć się na dworze - szepnęła Matylda, ciesząc się w duchu, że trzyma się bezpiecznej dłoni Alvara. - Zbyt długo przebywałam w zamkniętym pomieszczeniu. Chodźmy tędy, przemknijmy się wzdłuż ściany...

Ile w niej ufności, myślał Alvar, który przez kilka ostatnich lat wiódł twardego żołnierskiego żywota i odzwyczaił się od kobiet. Nie podzielał bowiem zainteresowania swych towarzyszy broni dla duńskich dziewczek.

Matylda, córka Nilsa Broderssona, była zupełnie inna. Taka kobieta mogła się podobać! Filigranowa, delikatna jak figurka z porcelany, a mimo to dla młodszego rodzeństwa stanowiła oparcie. A przy tym inteligentna i wykształcona...

Co za pech, że ten obrzydliwy Emil zdołał ją nakłonić do małżeństwa. To prawdziwa tragedia dla niej... a także dla tych, którzy poznali ją później.

Udało im się przedostać przez bramę, której nikt nie pilnował. Nie wiadomo, gdzie podziwiała się służba.

- Cicho - szepnął Alvar przerażony, gdy już znaleźli się na zewnątrz.

Zastygli w bezruchu.

Doszedł ich turkot kół i w tej samej chwili zza zakrętu głównej alei prowadzącej do dworu wyłonił się powóz.

Wracać nie mogli, bo znaleźliby się w pułapce. Po jednej stronie drogi ciągnęły się pola, po drugiej zaś dość rzadko porośnięta dąbrowa.

- Chodźmy - rzucił Alvar, pociągając dziewczynę w stronę drzew.

Biegł przed siebie po nierównym podłożu, by znaleźć kryjówkę dla obojga, a Matylda podążała za nim, kurczowo trzymając go za rękę.

Ale już zostali zauważeni. Powóz się zatrzymał.

- Stójcie albo będę strzelał! - krzyknął Emil.

- Nie zdąży załadować broni - uspokajał Alvar Matyldę. - Biegnijmy dalej, dasz radę, pani?

- Oczywiście.

Po chwili usłyszeli wystrzał, ale znajdowali się już w bezpiecznej odległości.

Uciekali przez dąbrowę, która przypominała park, aż dostali się do głównego traktu ciągnącego się wzdłuż wybrzeża.

- Tu nie ma się gdzie schronić! Musimy przedostać się do tamtego lasu! - zawołał



Alvar pokazując na zachód.

- Słusznie - zgodziła się Matylda. W jej głosie mimo zmęczenia pobrzmiwał zapach. Alvar rozumiał, że dla niej jest to jedyna szansa, by wydostać się na wolność, i tej okazji chwyciła się jak tonący brzytwy. Bez chwili wahania.

Słyszeli, że powóz zawrócił i jechał dworską aleją w ich kierunku.

- Nie zdążymy zakopać z powrotem skarbu w tym samym miejscu, gdzie został znaleziony! - wołała zadyszana Matylda.

- W takim razie poszukamy najpierw maluchów.

- Dobrze.

Powóz już zakręcał i wjeżdżał na główny trakt.

- Och, nie uda nam się uciec! - jęknęła.

- Ależ tak! Jeszcze tylko kawałek!

Zatrzymali się dopiero wówczas, gdy Alvar uznał, że są dostatecznie daleko. W ustach czuł smak krwi, a nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Matylda upadła na ziemię kompletnie wyczerpana. Alvar poszedł jej śladem.

- Właściwie nie powinien pan tego robić. Nie jest pan jeszcze całkiem zdrow, kapitanie! - rzekła Matylda, odczuwając wyrzuty sumienia.

- Chyba tak. Ale i dla pani jest to duży wysiłek, tyle czasu spędziła pani w zamknięciu!

Uśmiechnęła się wymuszenie.

- Rzeczywiście, kiepscy z nas biegacze.

Przez chwilę leżeli obok siebie na trawie, wyciągnięci na wznak, usiłując złapać równy oddech. Po chwili Matylda zapytała:

- Czy musimy taszczyć ze sobą ten paskudny skarb?

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł się go pozbyć - odparł Alvar po chwili namysłu.

- Ja również. Odnoszę bowiem wrażenie, że ten klejnot zatruwa powietrze wokół nas.

- Dobrze rozumiem, co pani ma na myśli. Miło, że powiedziała pani „wokół nas”.

Oboje jednak wiemy, że ponieważ to ja niosę naszyjnik, nieprzyjemna aura tworzy się wokół mnie.

- Prędzej czy później skarb wróci tam, gdzie jego miejsce: do grobu Huldy. Tam stanowi najmniejsze zagrożenie.

- Oczywiście.

Zgadziali się we wszystkim. Alvar czuł się cudownie w towarzystwie tej filigranowej kobiety.

Nagle uniósł się na łokciach.

- Cicho.

Matylda także usiadła i nasłuchiwała uważnie.

Po chwili z bardzo bliska doszedł ich wyraźny turkot, powóz jednak kierował się w stronę dworu.

Alvar napotkał spojrzenie dziewczyny i szepnął niespokojnie:

- Okazuje się, że nie oddaliliśmy się zbyt od traktu, tak jak mi się zdawało.

- Nie, niedaleko stąd jest zakręt.

Alvar rozejrzył się wokół.

- Ten głąz na górze powinien chyba być widoczny z drogi, prawda?

- Tak, widać go na pewno.

- W takim razie pójdę ukryć pod nim mieszek ze skarbem. Bez trudu odnajdziemy potem to miejsce.

- Doskonale! - powiedziała, gdy wrócił. - Właściwie już odpoczęłam. Możemy ruszać do Hälsingborga!

Alvar pomógł jej wstać i podążyli na zachód. Wybierali leśne ścieżki, ale nie wchodzili zbyt głęboko między drzewa. Przez cały czas starali się nie tracić z oczu głównej drogi, by nie przeoczyć, gdyby tamtędy szły dzieci.

Był już późny wieczór. Uznali za mało prawdopodobne, by mogli je teraz spotkać. Zwracali jednak uwagę na przejeżdżające powozy, choć tych nie mijano zbyt wiele, w nadziei, że może ktoś ulitował się nad malcami i podwiózł ich kawałek.

Szli, póki starczyło im sił. Mijali lasy i pola. Przestali się już obawiać, że natkną się na Emila i macochę. Oprócz drzew chronił ich nocny mrok.

Matylda potykała się coraz częściej, zahaczała o wystające korzenie. Alvar zaś był głodny i zmęczony i z coraz większym trudem stawiał kroki.

- Nie wiesz, pani, czy gdzieś w pobliżu jest jakaś gospoda? - zapytał w końcu.

Dziewczyna stanęła, wykorzystując nadarzający się pretekst.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo się orientuję, gdzie jesteśmy - roześmiała się przepraszająco. - A co dopiero mówić o zajeździe.

- Powinniśmy coś zjeść, trochę wypocząć i przespać się. Czy cokolwiek z tego mamy szansę zrealizować?

- Zjeść możemy - odezwała się Matylda ochoczo. - W biegu wzięłam z kuchni trochę chleba. Nie ma go dużo, ale...

- Chleb? O pani, jesteś aniołem! - zawołał spontanicznie. - Jestem głodny jak wilk!

- Usiądźmy tam na pagórku - zaproponowała rozradowana. - Niewykluczone, że wylądujemy w mrowisku, ale jest mi wszystko jedno, nie jestem w stanie zrobić ani kroku więcej.

- To tak jak ja - rzekł i poszedł jej śladem. - Na tych bezdrożach mogłoby jeszcze dużo czasu upłynąć, nim trafilibyśmy na jakieś zabudowania. Rozłożę płaszcz, żeby pani nie zmarzła, o ile oczywiście wytrzyma pani stajenny odór.

- Dziękuję bardzo, ale mam wystarczająco grubą pelerynę. A pan sam potrzebuje ciepłego okrycia, przecież niecałkiem pan zdrów. Uff, zaczynają mnie męczyć te formy grzecznościowe. Czy nie moglibyśmy mówić sobie po imieniu?

- Z największą radością!

- Właściwie przydałoby się wypić bruderszaft, ale jeśli chodzi o mocne trunki, to nabrałam do nich obrzydzenia w czasie mojego małżeństwa.

Zrozumiał, że Emil pił zbyt wiele alkoholu.

I chociaż nie powinien tak myśleć, ta informacja go ucieszyła.

Alvar znalazł wygodne miejsce pod wysokim drzewem, gdzie oboje usiedli, oparli się plecami o pień. Matylda starannie rozdzieliła chleb na dwie części. Większy kawałek dała kapitanowi i miała nadzieję, że nie zauważy tego w ciemnościach, bo pewnie by zaprotestował.

- Co za ulga, że pozbyliśmy się skarbu. Człowiek czuje się zupełnie inaczej.

- To prawda. Wiesz, Alvarze, to nieprawdopodobne. Siedzimy tu zmęczeni bez dachu nad głową, narażeni na deszcz i wiatr. I choć tęsknię i niepokoję się o moje rodzeństwo, to jednak dawno nie czułam się taka szczęśliwa, chyba od dnia ślubu.

Miał ochotę spytać, czy i ten dzień przyniósł jej rozczarowanie, ale przecież nie wypadało.

Ukradkiem spoglądał na jej dłonie, widoczne na tle nieba. Były takie delikatne, naturalne jak u dziecka. W ogóle Matylda była pozbawiona wszelkiej sztuczności. Każdy jej ruch i ton głosu był prawdziwą przyjemnością dla oka i ucha.

A Emil tego nie docenił.

Właściwie Alvar był mu za to wdzięczny.

- Dawno mi tak nie smakował posiłek - westchnął, kiedy skończył jeść.

Chciał zapytać Matyldę o tak wiele spraw, ale uznał, że to może poczekać. Byli oboje zbyt zmęczeni.

Alvar przygotował jej legowisko w trawie i sprawdził, czy dokładnie otuliła się peleryną.

Później sam zawiązał się w wojskowy płaszcz, sztywny od brudu, i życzył jej dobrej nocy.

- Dobranoc - powiedziała Matylda. - I dziękuję.

Zasnęła prawie natychmiast, ale Alvar jeszcze przez chwilę czuwał. Jego ciało reagowało na bliskość tej pociągającej kobiety.

Niepokój ustał dopiero, gdy śmiertelnie zmęczony zapadł w sen.

## ROZDZIAŁ X

- Do diabła! - klął Emil, kiedy dojechali do Hult. - Do diabła!

- Mógłbyś się zdobyć na większą oryginalność! - powiedziała matka z przekąsem. - Moim zdaniem ucieczka tej gęsi ma swoje dobre strony. Nareszcie będziemy mieć dwór dla siebie.

- Nie obchodzi mnie Matylda, lecz skarb, który zabrała ze sobą! Przecież już umówiliśmy się z kupcem. Co mu teraz powiemy?

- Jutro, jak tylko wstanie świt, ruszymy w pogoń za nimi! Ale dla Matyldy drzwi tego domu pozostaną odtąd zamknięte raz na zawsze. Wspólnie postaramy się o to, Emilu, by jej noga tu więcej nie powstała!

W głosie matki pobrzmiwał agresywny ton.

- Nie obawiaj się - rzekł. - Możesz mi zaufać. Niech no tylko ten kapitan, który Bóg raczy wiedzieć, skąd się wziął, odda skarb! Potem zabiję ich oboje.

- Bardzo cię proszę, uczyni to dyskretnie - upominała go matka. - Nie byłoby nam na rękę, gdyby władze zaczęły tu węszyć.

- A co z dziećmiakami?

- Nie jestem ich matką, nie jestem za nie odpowiedzialna.

- A jeśli tu przyjdą?

- Nie ma obawy - rzekła sucho. - Wyrzuciłam je na zbity pysk. W Danii po gościach włóczy się mnóstwo smarkaczy, więc dwoje więcej czy mniej, jakaż to różnica? Myślę, że nie przetrzymają zimy.

- No, a Bror?

- Jest umierający. Takie przynajmniej ostatnio dotarły do mnie wieści. Zresztą to właśnie kapitan powiedział o tym mojemu stangretowi.

- Doskonale. W takim razie nie powinniśmy mieć kłopotów!

- Przydałoby się tylko trochę pieniędzy. Muszę odświeżyć swoją garderobę.

- Nie licz na razie, mamu, na przesadną ekstrawagancję - powiedział Emil. - Najpierw muszę spłacić długi, bo inaczej stracimy dwór.

Matka poderwała się z miejsca i obrzuciła go wymówkami:

- Jak ty się prowadziłeś, kiedy nas tu nie było? Gdy dziś jechaliśmy przez miasto, słyszałam, że ludzie śmieją się z nas pogardliwie. Jakby uważali nas za gorszych od siebie. Emilu, swą lekkomyślnością naraziłeś na szwank moje dobre imię.

Przerwał jej ze złością:

- Doskonale wiesz, mammo, że nigdy nie cieszyłaś się dobrą opinią. Myślę, że powinnaś być wdzięczna Nilsowi Broderssonowi za to, że ożenił się z tobą. Gdyby nie on, znalazłabyś się wtedy w Landskronie w wielkich tarapatach.

Wymierzyła mu siarczasty policzek.

- Tutaj otacza mnie szacunek i nie życzę sobie, by ktoś szargał moje dobre imię!

Emil pobladł i wysyczał przez zaciśnięte zęby:

- Dostyć wycierpiałem w dzieciństwie. W Landskronie nikt nie nazywał mnie inaczej jak synem „oficerskiego materaca”. Vivian miała charakter podobny do ciebie. Potrafiła być twarda i złośliwa. Nie przejmowała się więc tak bardzo ludzkim gadaniem. Ale też nie słyszała tyle co ja, chłopak.

Matka patrzyła szeroko otwartymi oczami i z trudem łapała oddech.

- „Oficerski materac”? Na pewno sam to wymyśliłeś!

- Niestety, nie ja - odrzekł chłodno. - Spytaj o to kogokolwiek z Landskrony. Zresztą w Hälsingborgu również jesteś znana. Na wspomnienie twego nazwiska ludzie z trudem powstrzymują się od śmiechu.

Zrazu oniemiała, a potem zaniosła się przeraźliwym płaczem. Ciskała poduszkami, tłukła wazony i wszystko, co nawinęło się jej pod rękę.

- Przeklęte plotkary! - wykrzykiwała.

W końcu Emil powstrzymał ją, chwytając brutalnie za nadgarstki.

- Uspokój się! O co właściwie się kłócimy? Teraz, kiedy Vivian nie żyje, mamy już tylko siebie.

Minęło trochę Czasu, nim matka odzyskała równowagę.

- Masz rację - przyznała w końcu. - Znajdź ten naszyjnik, Emilu. On rozwiąże wszystkie nasze problemy. A wtedy niech sobie te plotkary gadają, co im ślina na język przyniesie. Zazdrośnice!

Emil stał przez chwilę, zatopiony w myślach.

- Dajesz wiarę tym głupotom, mammo, że nad skarbem ciąży przekleństwo? - spytał z tłumionym uśmiechem.

- Bzdura. Niby dlaczego?

- Mnie również wydaje się to pozbawione sensu, chociaż Matylda powiedziała...

- Matylda? - Matka Emila wymówiła imię synowej tak, że zabrzmiało niczym smagnięcie batem. - Chyba nie zamierzasz słuchać tego, co wymyśliła ta histeryczka.

- Oczywiście, że nie! Wiem, że to zwykłe przesady.

- Pewnie, pamiętam jej paplaninę o tym, że ten skarb sprowadza śmierć... na wszystkich. Tymczasem Vivian miała po prostu atak krupę. A Nils i mój stangret zwyczajnie zaprószyli ogień. Zostawili zapaloną świecę na nocnym stoliku. Takie wypadki się zdarzają i nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Żadne z nich jednak nie wiedziało o przeżyciach Brora i Alvara. Może gdyby je znali, inaczej spojrzeliby na sprawę. Chociaż to wcale nie jest takie pewne. Ich zachłanność była tak wielka, że ignorowali wszelkie niebezpieczeństwa, które stały im na drodze do bogactwa.

- Właściwie jeszcze nigdy na własne oczy nie widziałam tego skarbu - odezwała się matka z pretensją w głosie. - Najpierw Vivian ukryła go w swojej szafie, a potem, kiedy jechaliśmy do Danii, pozwoliłam zaopiekować się nim Nilsowi.

- A właśnie! Dlaczego go wzięliście? Nawet nie raczyliście mnie poinformować o swych planach. Szukałem go jak głupiec.

- Przecież ten skarb należy się mnie. To chyba oczywiste. Ty jesteś jeszcze dzieckiem.

- Dzieckiem? Nazywasz mnie dzieckiem?

- No, poniekąd. Zresztą podróż mieliśmy okropną. Bez przerwy oglądałam się dokoła, bo wydawało mi się, że ktoś się czai w pobliżu.

Emil roześmiał się pogardliwie,

- A więc i ty na stare lata stałaś się przesądna.

- Ależ skąd - odpowiedziała chłodno. - Nie powiem, miły jesteś, „na stare lata”! Co do podróży jednak, to wszyscy odnosili takie wrażenie. Nawet te smarkacze, które ku mojemu utrapieniu ciągnęliśmy ze sobą! Ale może rzeczywiście powóz, którym jechaliśmy, nie był najwygodniejszy. W każdym razie w drodze towarzyszył nam podły nastrój.

- A cóż w tym dziwnego? Dzieciaki właściwie nigdy nas nie zaakceptowały.

- Najgorszy był Bror. Jestem pewna, że to pod jego wpływem ogarnęło nas wszystkich takie przygnębienie. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, miałam tyle pracy z urządzeniem dworu, że całkiem zapomniałam o skarbie. Zresztą Nils zamknął go w tej wielkiej barokowej szafie, wiesz której. Tego wieczoru, kiedy postanowił go obejrzeć, byłam u znajomej... I puścił z dymem cały dom, stary dziwak. Zaczynała mu już dokuczać skleroza. Pewnie zasnął przy zapalanej świecy.

- No, a potem skarb zniknął razem z Brorem. Czy to wtedy wyrzuciłaś dzieciaki z domu?

- Tak, a cóż miałam z nimi robić? Nils nie żył, a to przecież on, nie ja, upierał się, by je zabrać do Danii. Następnego dnia po pożarze te smarkacze grymasiły przy śniadaniu. Nie wytrzymałam i pokazałam im drzwi. Podobno po paru godzinach, jak donieśli mi służący,

Bror wrócił po nie, ale było już za późno. Do diabła z całą tą trójką!

Emil długo milczał, jakby coś rozważał. W końcu rzekł:

- Musimy znaleźć Matyldę i tego bezczelnego kapitana. Odnoszę wrażenie, że ten drogocenny klejnot przez cały czas sobie z nas drwi. To irytujące!

- Nigdy go nie widziałam. Czy to ładny naszyjnik? Jak wygląda?

- Jest piękny! Masywny, ze szczerego złota, ze zdobieniami i wart jest fortunę.

- Jutro zwołamy służbę, wybierzemy tych najbardziej zaufanych i skoro świt ruszymy za zbiegami. Nie sądzę, by zdołali daleko uciec.

Emil zastanawiał się, komu spośród służących może ufać. Nie naliczył takich wielu. Większość nadal uwielbiała jego beznadziejną żonę.

Bardzo go to rozgniewało.



## ROZDZIAŁ XI

Chłopiec leciutko potrząsnął siostrzyczkę za ramię.

- Wstawaj, Beda! Musimy iść do Matyldy.

Ale dziewczynka nadal leżała na trawie.

- Nie chcę już dalej iść. Bolą mnie nogi. Jestem głodna!

Herman, pięcioletni chłopiec, patrzył na nią bezradny. Był tak jak siostra zmęczony i głodny.

- Musimy iść - powtarzał jednak z uporem.

Dziewczynka usiadła. Tarła rączką zapłakane oczy.

- To tak daleko. Idziemy i idziemy... Gdzie teraz jesteśmy?

Chłopiec rozejrzał się wokół. Na jego dziecięcych barkach spoczywała odpowiedzialność za nich oboje.

- Nie wiem - odpowiedział zrezygnowany.

Beda znów uderzyła w płacz.

- Chcę do domu! Do taty. I do Matyldy, i do Brora, Nie ma ich tu. Nikogo nie ma!

- Znajdziemy ich na pewno.

- Nie! Cały czas to powtarzasz - krzyczała Beda kopiąc brata. - Kłamiesz!

- Zapytamy o drogę, jeśli tylko trafimy na jakiś dwór.

Jednak nikt z napotkanych ludzi nie umiał im wskazać, gdzie leży Hult. Dziwne, że nie słyszeli o takiej dużej posiadłości.

Herman na nowo zaczął namawiać siostrę:

- Może spotkamy takiego miłego pana jak ten, który pozwolił nam wejść na prom.

Albo takiego, co rozmawiał z nami na przystani.

- Tak, ale wtedy przyjechała ciocia! - Beda skuliła się.

Nigdy nie nazwali macochy mamą. Trzyletnia Beda nawet nie widziała swojej prawdziwej matki, Herman jednak zachował blade wspomnienie jej pieszczot. Miał zaledwie dwa latka, kiedy urodziła mu się siostrzyczka, a umarła mama.

Dzieci odtąd Ignęły do Matyldy. Ale i ją straciły. Bo ciocia postanowiła, że wyjadą z Hult do Danii. Matylda zaś została w ich rodzinnym dworze razem ze „wstrętnym Emilem”.

Nie podobało im się w Danii, najczęściej trzymały się tam Brora.

A teraz straciły wszelkie oparcie. Nie pozostał im nikt. Od wielu dni nic nie jadły, a na domiar złego chyba zabłądziły.

Żadne z trojga rodzeństwa nie miało ochoty opuszczać Hult. Zresztą wyczuwali, że macocha również niechętnie ich ze sobą zabiera. Ale jakież wpływy na decyzje dorosłych mogą mieć dzieci? Matylda wprawdzie bardzo prosiła, by jej rodzeństwu pozwolono pozostać w Hult, jednak Emil kategorycznie się temu sprzeciwił. Ojciec zdecydował więc, że pojedą z nim. Wstrętny Emil postawił na swoim!

Herman czuł podświadomie, że ojciec ich zawiódł. Chłopiec nie potrafił nazwać swych uczuć, ale w głębi swego dziecięcego serca skrywał żal do ojca, że okazał się taki chwiejny i słaby.

Tata zawsze otaczał macochę uwielbieniem. Trzeba przyznać, że była piękna. On jednak niemal dosłownie stawał na głowie, by spełnić jej zachcianki, często przy tym zapominając o swych dzieciach.

Ale i tak go kochały. Bardzo kochały, chociaż potrafił być czasem strasznie surowy. Gniewał się, zwłaszcza kiedy macocha poskarżyła, że dzieci zachowywały się niegrzecznie. Matylda stawiała w ich obronie, a z jej zdaniem ojciec zawsze się liczył. Tego jednak macocha nie mogła znieść. Wpadała w gniew i wybiegała z pokoju stukając obcasami. A ojciec podążał za nią ze słowami: „Wybacz, kochanie, nie chciałem...”

Nie, życie nie jest proste dla małego brzdąca, który raptem stał się najstarszy. Bada popłakiwała i nie chciała ruszyć się z miejsca. On także nie miał ochoty iść, ale rozumiał, że nie mogą siedzieć bez końca na skraju lasu.

Po drodze szczęście parę razy uśmiechnęło się do nich. Miły chłopak zabrał ich na furę z sianem. Przyjemnie było trochę odpocząć. Ale on jechał tylko do pobliskiego dworu. Pytali go o Hult, odpowiedział jednak, że nigdy nie słyszał takiej nazwy. Prosił, by Herman wymienił nazwy sąsiednich dworów, ale chłopiec przypomniał sobie tylko jedną: Bäckaskog. Słyszał kiedyś bowiem, jak Emil się chwalił, że ma tam znajomych.

- Bäckaskog - zamyślił się parobek. - Tak, to w tamtą stronę. Trzymajcie się tej drogi. Nigdzie nie zbaczajcie, póki nie spotkacie kogoś, kto wam powie, jak iść dalej.

Chłopak zaproponował Hermanowi i Bedzie, by skręcili razem z nim do dworu. Gospodyni na pewno przygotuje im coś do zjedzenia, mówił. Ale kiedy pokazał zabudowania na uboczu, dzieci grzecznie odmówiły. Nie miały odwagi odejść tak daleko od drogi. Podziękowały za pomoc i szczęśliwe, że podążają we właściwym kierunku, ruszyły dalej.

To jednak było już tak dawno. Szły i szły, zgodnie z radą parobka cały czas głównym traktem. Nikogo jednak po drodze nie spotkały. Herman zaczynał się lękać, że zabłądzili...

Żałował, że nie pojechali do dworu razem z tym miłym chłopcem, przynajmniej by coś zjedli. Nie przypuszczał jednak, że do Hult jest tak daleko. Sądził, że dotrą na miejsce

przed zapadnięciem zmroku.

Straszne są noce poza domem. Beda panicznie bała się ciemności, a Herman starał się ukryć przed nią, że i on czuje lęk. Kładli się pod drzewami. Siostrzyczka skulona w kłębek na ogół zasypiała pierwsza, on zaś długo leżał z otwartymi oczami, wsłuchując się w odgłosy nocy. Szlochał cichutko, przerażony i samotny.

Noc szczęśliwie minęła, ale co z tego, skoro Beda nie chce wstać.

- Chodź, Beda - rzekł błagalnie. - Jeszcze kawałeczek. Aż zobaczymy jakieś domy. Obiecuję, że wejdziemy do środka i poprosimy o jedzenie.

Trzyletnia dziewczynka wstała, otarła zapłakaną twarz wierzchem dłoni i z trudem ciągnąc poranione nogi, poczłapała za bratem.

## ROZDZIAŁ XII

Alvar przewracał się z boku na bok, ale nie mógł zasnąć. Wyczerpany chorobą i trudami podróży organizm potrzebował snu, jednak teraz Alvar nie mógł nad nim zapanować. Zapewne z powodu bliskości młodej, bardzo pociągającej kobiety.

W środku nocy rozpadał się drobny deszcz.

Nie możemy tu zostać, powinniśmy schronić się pod dachem, pomyślał.

Jednak nigdzie wokół nie było widać żadnych zabudowań.

Musiał obudzić Matyldę.

Wzdrygnęła się przerażona, ale ujrawszy jego twarz uspokoiła się.

- Pada deszcz - szepnął Alvar. - Przesuń się bliżej pnia.

- Dobrze - odpowiedziała Matylda i wstała, całkiem już rozbudzona. - W ogóle nie spałeś?

- Nie - odrzekł krótko.

Oparli się o pień drzewa, by pod jego koroną schronić się przed deszczem. Alvar sprawdził, czy na dziewczynę nie kapie, potem przyciągnął ją do siebie i otoczył ramieniem.

Niechcący oparła się o jego zraniony bok. Kapitan mimowolnie jęknął.

- Och, wybacz - szepnęła. - Bardzo cię boli?

- Nie - roześmiał się trochę bezradnie. - Tyle mam innych zmartwień, że zapominam w ogóle o bólu - próbował żartować.

- Czy rana się już zagoiła?

- Prawie. Trochę jeszcze ropy, ale to nic poważnego.

Westchnęła.

- Pewnie już nie pośpimy tej nocy. Możemy więc równie dobrze sobie porozmawiać. O ile masz siłę.

- Oczywiście. Nie jesteś głodna?

- Wytrzymam. Emil czasem przez kilka dni nie przynosił mi nic do jedzenia. A jeśli już dostawałam, to jedynie kromkę chleba i trochę wody. Jestem więc przyzwyczajona. Bardziej martwię się o moją nogę. Obtarłam sobie piętę.

- O, to niedobrze. Zwykle tak właśnie jest, że ból odzywa się wtedy, gdy stopy trochę odpoczną. Pozwól, że obejrzę.

Nadal panował nocny mrok. Dziewczyna posłusznie ściągnęła but.

- Pończochę także musisz zdjąć - rzekł, nie patrząc się w jej stronę.

W ciemnościach nie widział dokładnie jej stopy. Bardziej wyczuwał palcami pęcherz na jej pięcie, niż go dostrzegał.

- Nie dasz rady z tym iść. Muszę ci założyć opatrunek. Masz może jakąś czystą chusteczkę?

Przeszukała kieszenie i znalazła chusteczkę do nosa. Pozwoliła Alvarowi podrzeć ją na paski. Takim prowizorycznym bandażem owinął jej stopę.

- Masz takie delikatne, czułe dłonie - powiedziała. - Podoba mi się ich dotyk. Wybacz moją otwartość, ale wiem, że jesteś porządnym człowiekiem.

- Dziękuję, Matyldo. To miło z twojej strony.

Nie śmiał napomknąć choćby słowem o wrażeniu, jakie wywarła na nim jej delikatna skóra. Stopy są bardzo podniecające, pomyślał.

A może to tylko jemu się tak wydaje? Po tak długim poście bliskość każdej kobiety tak by na niego podziałała.

- O, tak, nic cię nie uwiera? - spytał i miał nadzieję, że głos nie zdradził, jak bardzo jest podekscytowany.

- Nie, nie uwiera. - Matylda poruszyła nogą. - Założyłeś mi bardzo staranny opatrunek. Teraz będzie mi znacznie wygodniej.

Przysunęła się bliżej, by ogrzać się o jego ciało. Szczękała zębami z zimna. Jej włosy łaskotały go w twarz.

Alvar przeżywał prawdziwe męki.

Deszcz zacinał coraz mocniej.

- Biedne dzieci - westchnęła Matylda.

- Tak, ciekawe, gdzie teraz są? - zastanawiał się kapitan. - Martwię się też o Brora.

- Wszystko wydaje mi się teraz takie beznadziejne.

- Będzie lepiej - próbował ją pocieszyć, choć w głębi serca podzielał jej niepokój.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Alvarze - zapytała naraz. - Jesteś żonaty?

- Nie, nie jestem. Przez całe swoje dorosłe życie służyłem w wojsku.

Czyżby usłyszał lekkie westchnienie ulgi? E, pewnie tylko mu się wydawało.

- To znaczy, że nie masz doświadczenia... Och, przepraszam!

Nie próbował dociec, co miała na myśli. Ale domyślił się, że chodzi jej o kontakty z płcią piękną. Miał nadzieję, że nie zorientowała się, jak bardzo spragniony jest bliskości kobiety. Bezwiednie odsunął się nieco i podciągnął wyżej kolana.

- A więc twoje małżeństwo nie było... zbyt udane? - odezwał się zachrypniętym

głosem.

- Małżeństwo? - zaśmiała się z goryczą.

- Czyżby nie zostało...?

- Skonsumowane? Nie, nie zostało. Mój mąż się upił i zasnął w noc poślubną. A potem zaczął mnie w kółko wypytywać, gdzie schowałam skarb. Kiedy zapewniałam, że nic nie wiem, wyjeżdżał do miasta lub odwiedzał wpływowych przyjaciół moich rodziców i co wieczór wracał pijany. I nie był w stanie... rozumiesz. Kilka razy goście byli u nas i te wieczory wspominam jak koszmar. Bo kiedy Emil wlał w siebie zbyt wiele trunków, szydził ze mnie głośno, nie zważając na to, że wszyscy go słyszą. Potem przychodził do mojej sypialni, ale ja czułam się taka upokorzona, że zamykałam przed nim drzwi.

- Miałaś rację - powiedział Alvar, oburzony zachowaniem Emila. Przytulił ją mocniej, pełen współczucia. - Jak długo byliście małżeństwem?

- Kilka miesięcy. W tym czasie Emil zdążył popaść w takie długi, że musiał zastawić dwór. Pod tym względem wykazał zdumiewający talent.

- Niestety, winę za ten stan rzeczy ponosi twój ojciec, który nie odkrył w porę, że wprowadził do domu takie kanalie - rzekł Alvar. - Po prostu był zbyt łatwowierny. Powinien zauważyć, że jego własne dzieci cierpią.

- Ja także byłam głupia. Błagałam, by pozwolił mi wyjść za mąż za Emila. Zresztą on również razem z matką nalegał na przyspieszenie terminu ślubu. Teraz wiem, że chodziło im o to, by Emil mógł przejąć dwór. Wtedy jednak, kiedy mnie adorował, wydawał mi się taki cudowny. Dostrzegałam wyłącznie jego zalety, a on znakomicie grał rolę zakochanego. Wszystko zmieniło się po ślubie, dosłownie pierwszego wieczoru. Mówiłam już o tym. Zdradzał mnie wielokrotnie z różnymi kobietami. Ale w tym może jest trochę mojej winy. Bo po tych wszystkich upokorzeniach zniechęciłam go i nie chciałam mieć z nim nic wspólnego.

Alvar jakby wbrew sobie, bo nie był przekonany do końca, czy to prawda, rzekł:

- Rozumiem, że młoda dziewczyna może zakochać się w Emilu. Jest tak przystojny...

- Nie - przerwała mu ostro. - Gdybym trochę poczekała, przejrzałabym jego grę. Dostrzegłabym, jaki jest naprawdę: leniwy, pozbawiony charakteru, niestały w uczuciach. A przy tym wyrachowany aż do bólu! Nie taki powinien być według mnie mężczyzna. Chciałabym, by cieszył się autorytetem i autentycznym poważaniem. Nie podoba mi się typ, który krzyczy na ludzi i wydaje mu się, że ma prawo dominować nad innymi. Pragnęłabym, by mężczyzna był delikatny i czuły, silny, ale pełen respektu wobec mnie, szczupły, o szerokich ramionach, no i żeby nosił brodę i miał intensywnie błękitne oczy, promieniujące

wewnętrzna siłą, włosy koloru ciemnoblonde, trochę za długie i... O mój Boże, wybacz.. - urwała, bo uświadomiła sobie, że opisuje Alvara. On też zdołał to zauważyć.

- Wiesz, Matyldo, zbyt łatwo się zakochujesz - rzucił oschle. - Wystrzegaj się tego. Ile ty właściwie masz lat?

- Dziewiętnaście.

- Moja droga... - wymamrotał.

- A ty?

- Jestem od ciebie o dziesięć lat starszy.

Dwadzieścia dziewięć lat? myślała. Najpierw wydało się jej, że to dużo, ale już po chwili uznała to za bardzo fascynujące.

O czym ja właściwie myślę? skarciła się w duchu.

- Wydaje mi się, że w małżeństwie najważniejsza jest wierność - zaczęła zdecydowanie, ale nagle zagubiła się w swych wywodach.

Alvar przyszedł jej z pomocą.

- Oczywiście! Emil zawiódł okropnie pod tym względem.

- Tak - stwierdziła z przekonaniem i roześmiała się. Przypomniała sobie swą rozpacz i apatię, w której się pogrzyżyła po ślubie. - Alvarze, wydaje mi się, że jestem taka niemądra. Przez ostatnich kilka miesięcy tonęłam we łzach, a teraz, kiedy rzeczywiście mam powód do płaczu... teraz nie jestem w stanie wycisnąć nawet jednej łzy.

Odwrócił się do niej i pogładził ją palcem po policzku.

- Wiesz, dlaczego? Bo nie jesteś już samotna! Na tym polega różnica. Nie rozumiesz?

- Ależ tak - skinęła głową i popatrzyła mu w oczy. - Alvarze, jesteś wspaniały!

Poczuł wdzięczność, że nie nazwała go miłym.

- Łatwo jest być dobrym przy tobie - odpowiedział nie całkiem zgodnie z prawdą, gdyż pociągała go do granic wytrzymałości. Nie robiła tego świadomie, bowiem Matyldzie obca była wszelka kokieteria.

Dziewczyna jakby czytała w jego myślach, bo zapytała naraz:

- Czy uważasz, że jestem bezwstydną?

- Bezwstydną? Ty? Jak możesz tak o sobie myśleć?

Westchnęła. Deszcz siąpił nadal i zaczynało kapać im na głowę. Na to jednak nic nie mogli poradzić.

- Siedzę tu i opowiadam ci o nie spełnionym małżeństwie i Bóg raczy wiedzieć o czym jeszcze... Potrafisz sprawić, by człowiek się przed tobą otworzył.

- Po prostu potrzebny ci był ktoś, z kim mogłabyś porozmawiać o swoich problemach

- rzekł skromnie. Ale jej pochwała była niczym plaster dla jego poranionej duszy. Dziewczyna sprawiła, że poczuł się niewypowiedzianie szlachetny. W duchu dziękował jej za to.

Gdyby jeszcze mogła ukoić tęsknotę trawiącą jego ciało.

Och, wstydziłby się, o czym on w ogóle myśli?

Dreszcz przebiegł mu po plecach i wyprostował się, bo krople deszczu wpadły mu za kołnierz.

- Masz rację - zgodziła się z jego słowami, które zdążył już zapomnieć. - Nie miałam z kim porozmawiać. Moja mama umarła przed trzema laty i nikt nie zatroszczył się o to, by mną pokierować.

- Rozumiem.

- A ty jesteś ode mnie dużo starszy. Prawie jak ojciec...

- No, trochę chyba przesadziłaś!

- Nie, nie to miałam na myśli. Mówiłam o możliwości porozmawiania. Sądzę...

Znów się zaplątała. Alvar usiłował podchwycić jej myśl, ale tylko pogorszył sprawę.

- Chodzi ci o to, że możesz rozmawiać ze mną jak z ojcem, podczas gdy... Uff, ja też zabrnąłem w ślepią uliczkę. Może pomówilibyśmy o czym innym?

- Tak będzie najlepiej - uśmiechnęła się okropnie zawstydzona. - Co ty sobie o mnie pomyślisz?

- Że nam obojgu dobrze jest ze sobą i że do siebie pasujemy.

- O, tak - potwierdziła z przekonaniem.

- Mam być szczery?

- Oczywiście.

Alvar przełknął ślinę. Nie było to takie proste, ale uznał, że powinien i że potrafi porozmawiać o swych rozterkach. Był jej to winien.

- Ale proszę cię o jedno. Nie wpadaj w popłoch, jeśli będę zbyt szczery - rzekł trochę napastliwie. - Nie mógłbym cię skrzywdzić, dam ci moje słowo honoru. Obiecujesz, że spokojnie mnie wysłuchasz?

- Obiecuję - powiedziała zdziwiona, ale i zaciekawiona.

Bębnienie deszczu zaczęło z wolna ustępować i przemieniło się w jednostajny szmer.

- Musisz zrozumieć, Matyldo, że niełatwo jest mężczyźnie, który przez tyle lat żył w celibacie, nagle mieć obok siebie młodą, delikatną kobietę. Naprawdę muszę trzymać się w ryzach, żeby nie przytulić cię mocniej, pocałować prawdziwie, poczuć w nozdrzach zapach twojej skóry, pozwolić wargom sunąć po wewnętrznej stronie twoich dłoni, całować twoje



palce...

Urwał. Uznał, że dziewczyna może nie wytrzymać większej dawki tego rodzaju wynurzeń.

Matylda milczała, bała się nawet poruszyć. Rzeczywiście te słowa były skierowane do niej zbyt bezpośrednio. Serce kołatało jej w piersi, wargi drżały.

- Uważasz, że swoim wyznaniem zniszczyłem coś między nami? - spytał Alvar cicho.

- Nie, nie - zaprzeczyła, nieobecna duchem.

Nic nie zniszczył! Wręcz przeciwnie, Ale jego słowa wywołały w niej doprawdy sprzeczne uczucia.

- Czy chcesz, bym się odsunęła? - rzekła, z trudem poruszając ustami.

- A ty chcesz?

- Ja pytałam pierwsza.

Alvar milczał.

- Nie - odszepnął w końcu.

- Ja też nie - odpowiedziała dziewczyna równie cicho. - Ale mimo to trochę się boję.

- Obiecałem, że cię nie dotknę. Wiem, że jesteś porządną kobietą, z tych, które nie łamią przysięgi małżeńskiej. Potrafię to uszanować.

- Masz rację. Mimo że to moje małżeństwo okazało się nic nie warte, to jednak nie chciałabym stracić szacunku dla samej siebie.

- Wiem o tym. Ale chyba wolno mi powiedzieć, że bardzo cię lubię.

- Oczywiście. I ja cię lubię, Alvarze, bardzo lubię, ale jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Oczywiście! Poza tym znamy się niecałą dobę! Ale wygląda na to, że deszcz przestał padać. Pośpisz jeszcze trochę?

Matylda domyśliła się, o co mu chodzi. Był bardzo zmęczony, prawdopodobnie wcale nie zmrużył oka.

- Chyba tak - skłamała.

Jej odpowiedź uspokoiła go. Nie miał ochoty ruszać w dalszą drogę w mroku nocy.

- W takim razie położę się pod tamtym drzewem. Myślę, że tak będzie najrozsądniej.

W jednej chwili poczuła, jak bardzo są związani. Roześmiała się radośnie, beztrąsko.

- Myślę, że masz rację.

Tym razem Alvar zasnął od razu, natomiast Matylda leżała z otwartymi oczami dopóty, dopóki nie ustąpił dziwny pociąg ku sąsiedniemu drzewu. Wtedy również jej oczy się zamknęły.

## ROZDZIAŁ XIII

Alvar i Matylda wstali wcześniej i nie zwlekając udali się w drogę. Chcieli zyskać trochę na czasie, nim Emil z matką, którzy nie zaliczali się do rannych ptaszków, ruszą za nimi w pościg.

Chyba nie ma wspanialszej pory dnia od brzasku poranka. Owej jesieni było szczególnie pięknie. Wilgotna mgła unosiła się nisko nad polami i zagajnikami. Jest coś urzekającego, a zarazem tajemniczego w takim krajobrazie. Opary mgły potrafią wyczarować najbardziej niesamowite obrazy. Dęby wyłaniały się i znikwały jak odpływające statki. W trawie i w misternie utkanych pajęczynach lśniły niczym diamenty kropelki rosy.

Krzyki mew i rybitw mieszały się z głosami ptactwa, które zleciało tu z najróżniejszych stron i na podmokłych łąkach urządziło sobie postój w wędrówce do ciepłych krajów.

- Bocian - dosłyszała Matylda. - To znaczy, że w pobliżu jest dach domostwa, a więc i ludzie.

- Podążmy za jego klekotem - zdecydował Alvar. - Może uda się nam zdobyć trochę pożywienia.

Oboje pomyśleli o tym samym: Dzieci - jeśli je znajdą - będą na pewno strasznie głodne. Alvar, który orientował się doskonale, jaka sytuacja panuje na drogach, wątpił, by ktoś zaopiekował się wędrującymi maluchami. Na ogół gospodarze obawiali się zapraszać do domu dzieci w obawie, że w ślad za nimi pojawi się gromada innych zgłodniałych malców.

- Proszę dobrego Ojca w niebie, by pomógł Hermanowi i Bedzie przedostać się przez Öresund - westchnęła Matylda.

Alvar nie odpowiedział. Osobiście więcej nadziei pokładał w marynarzu z promu niż we Wszechmogącym Ojcu. Przerazenie ogarniało go na myśl, że Herman i Beda nadal są po duńskiej stronie cieśniny, gdzie nikt nie przejmował się losem szwedzkich dzieci.

Wszystko co duńskie kojarzyło mu się negatywnie. Wiedział, że nie powinien myśleć takimi kategoriami, ale wojna pozostawiła w nim trwałe urazy. Łudził się jedynie nadzieją, że czas uleczy rany.

Wzajemna nietolerancja między ludźmi gwałtownie wzrasta w czasie wojny i nie znika bynajmniej w dniu podpisania układu pokojowego pomiędzy walczącymi stronami. Większość ludzi jeszcze długo po tym zachowuje się, jakby miała klapki na oczach.

Alvar nie potrafił wyzbyć się uczucia wrogości wobec Danii, choć Bogiem a prawdą

tym razem to jego kraj był agresorem.

Wkrótce natknęli się na kilka chłopskich zagrod. Weszli do środka w nadziei, że uda im się kupić coś do jedzenia. Trafili, niestety, do rodziny sprzyjającej Duńczykom i szwedzki mundur Alvara nie nastroił ich szczególnie przyjaźnie. Sprawę zakupów Matylda musiała więc wziąć w swoje ręce. Alvar tymczasem zajął punkt obserwacyjny przy gościńcu.

Matylda zapytała gospodynię, czy widziała, by przechodziło ostatnio tędy dwoje kilkuletnich dzieci, ale kobieta zaprzeczyła.

Podążyli więc dalej, trochę spokojniejsi. Świadomość, że ma się w zasięgu ręki pożywienie, może zdziałać cuda.

Idąc gawędzili ze sobą, dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Matylda odważyła się nawet opowiedzieć trochę o okresie, kiedy dorastała, co na ogół czyniła niechętnie. Była taka samotna, nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, zanim w rodzinie nie pojawili się Emil i Vivian. Miała nadzieję, że zaprzyjaźnią się z Vivian, ale, niestety, zbyt mocno różniły się charakterami.

- Ale na poszukiwanie skarbów wybraliście się we czworo?

- Tak. Bror i ja spragnieni byliśmy silnych wrażeń. Natomiast Emil i Vivian kierowali się chciwością i żądzą posiadania. Zrozumiałam to zbyt późno.

- Dopiero gdy wyszłaś za mąż za Emila?

- Tak - przyznała Matylda spłoszona.

Nawet Alvar, choć z natury był zamknięty w sobie, opowiedział trochę o swoim dzieciństwie i młodości, która zgodnie z wolą rodziny upłynęła mu w wojsku.

Uświadomił sobie, że dotąd nikomu o tym nie wspominał. Ale też w niczym towarzystwie nie czuł się tak swobodnie.

Alvar zerkał ukradkiem na dziewczynę i wciąż zadawał sobie pytanie: Dlaczego jest mężatką? Przecież jesteśmy dla siebie stworzeni!

Zdawał sobie jednak doskonale sprawę z tego, że w ich środowisku nie uznawano rozwodów. Do końca życia związana więc będzie z Emilem węzłem małżeńskim.

Przemknęło mu przez myśl, że mógłby wyzwąć Emila na pojedynek.

Ale wydało mu się to poniżej jego godności. Zawsze uważał pojedynki za nieco komiczne, bo chociaż powoływano się na honor, dumę i cześć, to tak naprawdę chodziło o urażoną miłość własną.

Matylda zatrzymała się gwałtownie i nadstawiła uszu.

- Nadjeżdża powóz - wyszeptwała.

Alvar też usłyszał turkot.

Popatrzyli po sobie.

- Może uda nam się podjechać kawałek - rzekł z powątpiewaniem.

- Nie, powóz jest zaprzężony w parę koni i woźnica jedzie bardzo ostro. To może być powóz z Hult,

Alvar rozejrzał się wokół. Znajdowali się na otwartej przestrzeni, a powóz w każdej chwili mógł wyłonić się z lasu. Nie mieli czasu do stracenia.

- Szybko! Do rowu! Schowajmy się za wierzbina! - zawołał Alvar.

- Miejmy nadzieję, że rów nie jest wypełniony wodą - jęknęła Matylda.

Uchwyciła się jego dłoni i pobiegli jak szaleni. Wskoczyli do rowu, na szczęście woda nie sięgała wysoko i nie zamoczyła nóg. Alvar chwycił mocno Matyldę, by nie zsunęła się w dół.

Od strony lasu, niczym pojazd widmo, z oparów mgły wyłonił się powóz.

- To nasz - wyszeptała Matylda. - Ale jak oni jadą, to szaleńcy! Na pewno powozi Emil.

- Nie, lejce trzyma stangret. Ale pewnie dostał polecenie, by jechał co koń wyskoczy. - Alvar odwrócił się i popatrzył ostrożnie nad krawędzią rowu. - Żeby tylko się nie odwrócili, kiedy już nas miną - mruknął.

Matylda rozejrzała się wokół. Rzeczywiście z drugiej strony byli widoczni jak na dłoni.

Dziewczyna co i rusz ześlizgiwała się w dół po wilgotnej glinie i palce u nóg miała już całkiem przemoczone. Z desperacją wczepiła się rękami w trawę. Czuła się wszak niezręcznie, gdy Alvar podciągał ją w górę, bo za każdym razem unosiły jej się nieprzyzwoicie spódnica i halki. Jeśli tak dalej pójdzie, to za chwilę zobaczy jej kolana.

Wstyd i hańba!

- Chyba nie spostrzegli, jak wskakiwaliśmy do rowu - szepnęła.

Zadudniło. Powóz przejeżdżał przez pobliski mostek. Matylda schowała głowę jak struś.

Kiedy już im nic nie zagrażało, wydostali się z rowu.

Powóz zniknął we mgle.

## ROZDZIAŁ XIV

Poprzedniego wieczoru mały Herman dojrzał pole, na którym leżała sterta buraków cukrowych.

Bał się przemknąć tam ukradkiem, kiedy było jasno, mimo że w pobliżu nie spostrzegł żadnej zagrody. Rozglądał się, gdzie stoi chata gospodarza, ale prawdopodobnie była oddalona od drogi, gdyż chłopiec jej nie zauważył.

Beda całkiem się załamała. Przez cały wieczór zanosila się szlochom i za nic nie chciała iść dalej. Herman nie mógł zrozumieć siostry, przecież on także był głodny i zmęczony.

Na środku pola leżał cały stos buraków cukrowych.

Beda zasnęła. Cóż miał robić? Położył się obok i czekał, aż zapadną ciemności.

Ciemności, których tak okropnie się bał.

Gdzieś w pobliżu płynęła rzeka. Herman ogromnie lękał się wodnika, narodowego stracha Skanii. Chłopiec wiedział, że wodnik czasem przybiera postać mężczyzny, a czasem konia i że jest bardzo groźny. Jeśli zwykły śmiertelnik siądzie na grzbiecie takiego konia, ten potrafi zniecka runąć w toń i pociągnąć nieszczęśnika na dno.

Herman nie chciał się utopić. Poza tym nie mógł, przecież musiał zaprowadzić młodszą siostrę do domu, do Hult. Do Matyldy!

I do wstrętnego Emila, uświadomił sobie naraz i sposepniał. Wolałby, żeby ten wstrętny Emil nigdy się nie pojawił. Albo żeby ktoś go porządnie stłukł. Rąbnął go w głowę z całej siły.

Herman nie wstając zacisnął dłonie w pięści i jak mógł najsilniej uderzał w powietrze. Wyobraził sobie, że bije Emila, który zabrał im Matyldę i Hult.

To miejsce nie należało do niego. Nie ma tam nic do roboty!

Chłopiec rozplakał się zrazu ze złości, w końcu jednak ogarnęła go całkowita bezsilność. Zmęczony zasnął, pochlipując przez sen.

Kiedy Herman otworzył oczy, ujrzał niewielkie stado saren, które pasły się w pobliżu. Chłopiec prawdopodobnie słyszał je przez sen, a może obudziły go jakieś inne dźwięki, było bowiem jeszcze bardzo wcześnie i zwykle o tej porze spał.

Nawet w tej okropnej Danii! Kiedy uciekali od okropnej macochy i okropnego...

No nie, już nikt więcej nie był okropny.

Beda jeszcze spała. Przeżywał rozterkę, bo nie wiedział, czy powinien ją obudzić, czy też nie. Leżała posiniąta od chłodu.

Nie, nie ma siły od nowa wysłuchiwać jej płaczu. Znowu się położył, ale teraz trawa wydawała mu się bardzo zimna. Niedaleko chłopca mały pajęczek wspiał się szybko na utkaną między krzakami pajęczynę, na której wisiały nanizane kropelki rosy.

Buraki cukrowe.

Herman zerwał się. Pójdzie i przyniesie je teraz, kiedy wszyscy jeszcze śpią.

Sarny spłoszyły się i zniknęły w porannej mgle.

Wszedł na pole. Ziemia przyklejała mu się do butów. Z trudem podnosił ciężkie nogi. A musiał się spieszyć. Niełatwo było jednak poruszać się po tej gliniastej mazi, wilgotnej i czarnej.

Co to, wodnik?

Z lękiem spojrzął w stronę rzeki.

We mgle zdawał się dostrzegać kontury końskiej sylwetki.

Nie, przecież to tylko zarośla.

Przemieścił się już tak daleko w głąb pola, że stracił z oczu „łąd”. Jeśli Beda się teraz zbudzi, przerazi się nie na żarty.

Herman przełknął ślinę, rozejrzał się wokół w poszukiwaniu sterty buraków cukrowych. A jeśli zabłądzi?

Sam, całkiem sam na ogromnym świecie. Wszędzie tylko mgła, z której wyłonić się mogą trolle albo jakieś inne straszdyła. A co zrobi, jeśli naraz pojawi się chłop, którego własnością jest to pole?

Wreszcie! Są buraki!

Herman ruszył biegiem, z trudem podnosząc oblepione błotem i gliną nogi.

Ale wielkie! Myślał, że weźmie dwa buraki, ale przecież nie dadzą rady ich zjeść...

Nie, jednak powinni mieć dwa, każdy swój, nie mogą przecież czekać, aż drugie się naje. Buraki oczyszczono już z liści i korzeni, nie było ich za co chwycić. Chłopiec więc musiał wziąć pod pachę dwie kule.

Ciężkie, och, jakie strasznie ciężkie.

Usiłował biec, ale natychmiast jeden burak wysunął mu się i spadł na ziemię. Niedobrze.

Posuwał się wolno, bo co chwila któryś burak wypadał mu z rąk. No i ta mgła...

Zatrzymał się, by ustalić, gdzie się znajduje.

Gdzie on jest? Nie widać jego śladów!

Czuł wzbierający w piersi płacz.

Wreszcie coś dojrzał... drzewa, właściwie zarośla.

Buraki znów mu upadły.

Wreszcie dotarł na skraj pola.

Och, nie! Znalazł się nad rzeką!

Którędy ma teraz iść?

Buraki znów wysliznęły mu się z rąk. Herman schylił się po swą zdobycz, ale czuł, że ogarnia go panika. Na pewno zaraz podbiegnie do niego wodnik i zepchnie go w głębinę...

Złany potem wyprostował się i poprawił ciężki ładunek pod pachami.

W którą stronę powinien pójść?

Nie ma innego wyjścia, musi zawołać Bedę.

Jak rozdzierająco rozpaczliwie zabrzmiał jego krzyk!

Gdzieś w pobliżu odezwał się zaspany głos siostry.

Dzięki Bogu.

Po chwili ją odnalazł. Buraki toczyły się jeden za drugim w dół zbocza.

- Zobacz, co znalazłem, Beda! Mamy co jeść!

Była jeszcze taka zmęczona, że jedynie wystawiła rękę po swojego buraka.

- Ależ on jest cały w glinie - narzekwała.

- Możemy przecież wyczyścić je w trawie.

Tak też uczynili.

- Ta skóra jest niesmaczna, Hermanie.

- Tak, ale tam gdzie obcięte są liście, spróbujemy podzielić go na pół.

Beda miała zbyt delikatne paluszki, Herman znalazł więc ostry, kanciasty kamień i odłupał nim kawałek buraka.

Dziewczynka ugryzła i skrzywiła się.

- Hermanie, to nie są buraki cukrowe, to rzepa!

Herman nie mógł wiedzieć, że buraki cukrowe, znane i uprawiane już w Danii, nie dotarły jeszcze na północ do Szwecji.

- Chyba masz rację, Bedo, ale musimy coś zjeść! Możemy udawać, że jesteśmy krowami.

- Muuu - odezwała się Beda i oboje wybuchnęli śmiechem.

Humory im się poprawiły. Ugryzli po kawałku. Hermanowi ruszały się przednie zęby i chłopiec panicznie się bał, że mu wypadną. Gryzł więc bocznymi, choć efekt nie był równie dobry.

Rzepa okazała się nie najgorsza, ale trzeba się było przyzwyczaić do jej cierpkawo-słodkiego smaku. Najedli się do syta, po czym z żalem zostawili resztę, bo przecież nie daliby rady dźwigać takiego nieporęcznego ciężaru.

Ruszyli w drogę w pogodnym nastroju. Trochę się co prawda posprzecjali, w którą stronę należy pójść, ale w końcu Beda posłuchała Hermana.

Było jeszcze wcześniej. Tylko ptaki dotrzymywały im towarzystwa w wędrówce.



## ROZDZIAŁ XV

Powóz z łoskotem przetoczył się przez mostek niedaleko od miejsca, gdzie schowali się Alvar i Matylda. Gęsta mgła ukryła wszystko.

- Wydaje mi się, że kiedy wyjeżdżaliśmy z lasu, coś mignęło i znikło za groblą - odezwała się matka Emila. - Wyraźnie widziałam, że coś się poruszyło.

- Na pewno lis. Wczesnym rankiem zazwyczaj się tu od nich roi.

- Możliwe, że masz rację.

Ponieważ powóz nie miał okienka z tyłu, więc nawet nie obejrzeni się za siebie. Zresztą zdążyli już przejechać spory kawałek i mgła niczym ściana oddzieliła ich od uciekinierów.

Stangret niczego nie dostrzegł, bo dbał jedynie o to, by utrzymać tempo jazdy. Nie zważał zupełnie na to, że konie są zdrożone. Raczej trudno go było nazwać przyjacielem zwierząt.

- Niech diabli porwą tę moją żonę! - wysyczał Emil przez zaciśnięte zęby.

- Bądź tak miły i przestań przeklinać w obecności damy!

- Ładna mi dama - mruknął pod nosem kwaśno. Miał jeszcze świeżo w pamięci szyderstwa kolegów z dzieciństwa. Doskonale wiedział, że jego matka była kobietą lekkich obyczajów, która dzięki swej przebiegłości zdołała nakłonić do małżeństwa bogatego szlachcica. Trzeba przyznać, że potrafiła zachowywać się nienagannie w towarzystwie osób z wyższych sfer, jednak pod cienką warstwą ogłady kryło się prostactwo. Pamięta doskonale tych wszystkich oficerów, których przyprowadzała ze sobą, kiedy ojca nie było w domu...

Emil wrócił myślami do teraźniejszości.

- Nie mogli przecież uciec zbyt daleko - odezwał się do matki. - Chyba nie musimy więc jechać dalej.

- Jesteś pewien, że wybrali tę drogę?

- Pewien nie jestem, ale wydaje mi się, że to najbardziej prawdopodobne. Jeśli chcą sprzedać naszyjnik, postarają się dotrzeć do Hålsingborga. Tam mają szansę uzyskać najwyższą cenę.

Emil kierował się własną logiką, nie rozumiejąc zupełnie, że Matylda uznaje całkiem inną hierarchię wartości i pieniądze nie są dla niej bynajmniej najważniejsze.

Przejechali może ze dwa kilometry od mostku, gdy Emil nagle wykrzyknął:

- Popatrz!

Na brzegu gościńca siedział mały chłopiec, przedstawiający sobą obraz totalnej rezygnacji.

- Czy to nie Herman?

- Rzeczywiście, to on - rzekła matka i zaczęła walić pięściami w dach powozu, by dosłyszał ją stangret. - Stój! Zatrzymaj się! - krzyczała do niego.

- Po co ci ten dzieciak? - zachnął się Emil. - Smarkacz będzie tylko przeszkadzać, ciesz się, że masz ich z głowy. Powinnaś być zadowolona, że się ich pozbyłaś. Popatrz, tam masz Bedę, na dodatek. Chyba śpi Jedźmy dalej!

- Kompletnie nie myślisz - zdenerwowała się matka. - Czy nie rozumiesz, barania głowo, że kapitan i Matylda mogli uciec inną drogą, a wówczas te szczeniaki okażą się nam bardzo przydatne?

Woźnica stanął. Ale kiedy dzieci zobaczyły, kto siedzi w powozie, krzyknęły przestraszone i popędziły w stronę łąki byle jak najdalej od drogi.

- Za nimi! Szybko! - krzyczała macocha.

Woźnica i Emil ruszyli w pogoń. Herman i Beda wrzeszczeli i płakali z przerażenia, ale ich nóżki były zbyt małe, by mogli uciec przed dorosłymi mężczyznami. Nie mieli żadnych szans.

Dzieci poczuły, jak zapadają się w pełną grozy ciemność.

- A jeśli nie uda się nam znaleźć maluchów? - Matyldę, która trzymając kapitana za rękę podążała polną drogą, naszły chwile zwątpienia.

- Jeśli ich nie spotkamy, to proponuję, byśmy nie zawracając z drogi spróbowali dotrzeć do Brora. - Alvar starał się ją podtrzymać na duchu.

- Dziękuję - odetchnęła z ulgą. - Pomyślałam sobie o tym samym. Ale prześladowuje mnie nieprzyjemne uczucie, że mamy niewiele czasu.

- Tak - westchnął Alvar. - Musisz być przygotowana na wszystko, nawet na to, że przybędziemy za późno.

- Liczę się z taką ewentualnością - szepnęła przez łyzy.

Alvar uściskał jej dłoń. Mógł powiedzieć, że jest jeszcze iskierka nadziei, iż uda im się uratować Brora, ale nie chciał rozbudzać w niej nadmiernych oczekiwań. Najlepiej być przygotowanym na najgorsze.

Mgła zrzędła, choć jeszcze tu i ówdzie wisiała nisko nad polami. Znaleźli się w obszarze zupełnie odkrytym, ze wszystkich stron widać ich było jak na dłoni. Wały chroniące Skanię przed wiatrem od strony Öresund i Bałtyku znajdowały się w dość sporej odległości

od siebie. Tworzyły je wierzbowe zarośla i drzewa rosnące naturalnie bądź posadzone przez człowieka. Najgęściej porastały one okolice strumyków i rzek, przecinających skańską równinę. Zagrody chłopskie, położone w znacznej odległości od siebie, otoczone były żyznymi polami. Do gospodarstw, które znajdowały się daleko od drogi, na ogół prowadziły wierzbowe aleje.

Alvar i Matylda zostawili za sobą lasy Göinge i szli drogą na zachód w stronę Hälsingborga.

Gdyby sytuacja nie była tak poważna, Matylda zapewne chłonęłaby całą sobą ten cudowny poranek, radowała się obecnością wspaniałego mężczyzny, który wędrował u jej boku - kapitanem Alvarem Svantessonem Befverem, przyjacielem brata i jej wybawicielem. Alvar miał w sobie wszystko, co w jej wyobrażeniu powinno charakteryzować prawdziwego mężczyznę.

Wszystko to, czego brakło jej mężowi.

Jeszcze nigdy tak gorzko jak w tej chwili nie żałowała swego pośpiesznego zamążpójścia.

Naraz stanęli jak wryci, patrząc na drogę.

- Tym razem nam się nie uda - ocenił sytuację Alvar. - Nie mamy się gdzie schować.

Powóz powoli jechał prosto na nich.

- Trudno, chwycimy byka za rogi - zgodziła się Matylda.

Powóz zatrzymał się niedaleko i wyskoczył z niego uzbrojony Emil.

- Stójcie, bo strzelani! - krzyknął dokładnie tak samo jak poprzednio.

- Przecież nie ruszamy się, czegoż więcej od nas może chcieć? - mruknął pod nosem

Alvar.

Matylda, która dobrze знаła Emila, poczuła, że zalewa ją fala rozpacz i bezradności.

- Puść nas, Emilu! - zawołała. - Nie chcemy ci zrobić nic złego.

Podszedł bliżej i stanął w odległości kilkunastu kroków od nich.

- Kapitanie Befver, oskarżam pana o uprowadzenie mojej żony...

- Nonsens - prychnął Alvar. - Nic takiego nie miało miejsca. To pan więził swoją małżonkę przez długi czas...

- A cóż to pana obchodzi? Matylda jest niepoczytalna. Matyldo, proszę tu przyjść! I weź ten przedmiot, który skradł nam kapitan Befver. Natychmiast!

Alvar uściskał dłoń dziewczyny, by dodać jej odwagi.

- Wiesz dobrze, Emilu, że ten skarb jest niebezpieczny. Trzeba go zakopać tak, by nikt więcej go nie odnalazł.

- Niemądra, nie wiesz, ile możemy za niego dostać?

- Wiem jedynie, jakie wyrządza szkody. Nikt bezkarnie nie może wziąć klejnotu, nad którym wiedźma odprawiła czary. Jej przekleństwo dotknęło wielu ludzi. Chyba to rozumiesz? Pamiętasz, co się stało z nami?

- Głupoty gadasz! To był jedynie zbieg okoliczności.

- Nie sądzę! Vivian, twoja rodzona siostra, wyjęła skarb z torebki i umarła. To samo stało się z moim ojcem. I ze stangretem twojej matki. Zarówno Bror, jak i kapitan zamierzali obejrzeć zawartość mieszka i dla obu omal nie skończyło się to tragicznie. Pamiętasz, co ci się śniło tamtej nocy? Krwawy ołtarz, prawda? I bestialskie tortury. A mnie się śnił wielki pożar, Bror omal nie został uduszony, a Vivian zadźgana sztyletem. I wszyscy widzieliśmy te okropne oczy, świdrujące na wylot. Wszyscy oprócz Vivian, bo ona we śnie wcieliła się w postać Huldy.

- Bzdury! Zwykle przesady! Do tej pory nie miałem możliwości wziąć do ręki tego naszyjnika. Udowodnię ci jednak, że nic mi się nie stanie.

- Wydaje mi się, że Matylda ma rację - wtrącił się Alvar. - Bror ostrzegał mnie. Pozwól nam odejść! Jeśli sprzedasz naszyjnik, sprowadzisz nieszczęście na kolejnych niewinnych ludzi.

- Zamknij się, kapitanie! Nie wtrącaj się do naszych rodzinnych spraw! - warknął Emil.

W tej samej chwili z powozu doszło ich przeraźliwe wołanie: „Matylda!” Urwało się gwałtownie, tak jakby ktoś zatkał wołającemu usta.

- To Herman - jęknęła dziewczyna, która z wrażenia z trudem łapała oddech. - To jego głos.

- Uważasz, że to dobry, czy zły znak? - spytał Alvar szybko, bo nie mieli czasu na zbyt długą dyskusję.

- Jedno i drugie. Najważniejsze, że mój braciszek żyje, ale... zdaje się, że wzięli go jako zakładnika. No, a gdzie jest Beda? Boże, mam nadzieję, że nic się jej nie stało!

Matylda była śmiertelnie przerażona. Wiedziała, że Emil jest gotów zastrzelić, może nie ją, ale na pewno kapitana, bez żadnych skrupułów. A mając Hermana...

Emil machnął ręką w stronę powozu. Zobaczyli dłoń w czarnej rękawiczce szarpiącą się z drzwiami. Po chwili wysiadła matka Emila z rodzeństwem Matyldy, mocno trzymając dzieci za ramiona.

Dzieci! Ukochane maluchy, nie widziane przez Matyldę tak długo, znalazły się w niewoli u Emila, macochy i tego wstrętnego stangreta, którego nigdy nie darzyła sympatią.

Alvar uściskał delikatnie ramię dziewczyny, by uspokoić ją i dodać jej otuchy. A potem zwrócił się do Emila:

- Dostaniesz skarb w zamian za dzieci. I pozwolisz Matyldzie odejść!

Emil przyciszonym głosem rozprawił o czymś gorączkowo z matką. Potem zwrócił się do Matyldy i Alvara i powiedział:

- Akceptujemy wasze warunki! Dzieciaki w zamian za naszą prawowitą własność, naszyjnik, który odnalazłem z moją siostrą jako pierwszy.

- Siostra niedługo się nim cieszyła - mruknął Alvar do Matyldy, głośno zaś dodał: - Zdaje się, że Bror i Matylda dużo wcześniej niż wy znali historię tego starego kurhanu i to oni go wam pokazali?

- Tak, ale nie chcieli się doń zbliżać. To my podjęliśmy działanie. Zresztą nie ten jedyny raz.

- I sprowadziliście nieszczęście na wszystkich - odparował Alvar. - Ale nie traćmy czasu na pustą gadaninę. Pozwólcie dzieciom przyjść do nas.

Jego słowa, choć wcale nie miał takiego zamiaru, zabrzmiały niemal jak cytat z Biblii.

Matylda i Alvar dobrze wiedzieli, że maluchy nie zaznały u macochy nawet odrobiny ciepła. Trudno było przewidzieć, jakie ma wobec nich zamiary. Już raz swym postępowaniem udowodniła, że wcale jej nie obchodzą. Warto było za przekłętą skarby kupić spokój i dobre samopoczucie dzieci.

Matylda nie była w stanie uporządkować myśli, przytłaczała ją rozpacz, w głowie miała kompletny chaos. Nie wiedziała, co jeszcze może się wydarzyć. W tym wszystkim jednakże nie opuszczała jej troska o Brora.

Biedny Bror! myślała. Nie zdążyliśmy go uratować. Umiera gdzieś w nędznej stajni. Przyszło nam wybierać pomiędzy jego życiem a bezpieczeństwem maluchów, wygłodzonych, zziębniętych, z poranionymi nogami. A ja muszę się zgodzić na warunki Emila, bo inaczej on zastrzeli Alvara...

Nie, nie pozwoli na to, by zginął jej nowy wspaniały przyjaciel, który jest dla niej oparciem.

Ocknęła się, usłyszawszy żalony głos Hermana.

- Matyldo, bolą nas nogi.

- Wiem, Hermanie, teraz już będzie ci dobrze - zapewniła brata ze łzami w oczach.

Wszyscy jej potrzebowali. Jej najbliższym zagrażało niebezpieczeństwo ze strony nędznika o pięknej twarzy. Mydłek, kompletnie wyzuty z wszelkiej moralności, gotowy zastrzelić każdego, kto stanie mu na drodze do łatwego bogactwa.

- Jeszcze tylko jedno! - zawołał Emil. - W zamian za dzieci zrzekniesz się, Matyldo, wszelkich praw do dworu Hult. Ty i twoje rodzeństwo.

- Nie wolno mi zrzekać się prawa do Hult w imieniu mojego rodzeństwa.

- Są niepełnoletni.

- Ale ja tego nie mogę zrobić!

- Zgódź się - szepnął Alvar. - Mam dwór, gdzie wszyscy zostanieie przyjęci z otwartymi rękami. Nie możemy ryzykować życia dzieci.

I twojego, pomyślała. Bo mnie nic nie grozi, póki Emil wie, że mam skarb.

Głos zabrała matka Emila.

- Nie planujemy, by ktokolwiek poza mną i Emilem mieszkał w Hult.

- Dostyc gadania - przerwał jej syn. - Oddajcie naszą własność, naszyjnik Huldy, którego nigdy jeszcze dokładnie nie obejrzałem.

Naraz Matylda doznała olśnienia.

- Nie mamy go przy sobie! - krzyknęła.

- Co?! Nie próbujcie żadnych sztuczek!

- Mówię prawdę. Nie chcieliśmy go brać ze sobą na poszukiwanie dzieci i ukryliśmy w lesie.

Ścisnęła z całej siły dłoń Alvara, prosząc w duchu, by zrozumiał jej intencję.

- Zresztą nie ja go ukryłam, lecz kapitan Befver - dodała. - Sama nie odnajdę tego miejsca.

Liczyła na to, że jej słowa uratują Alvarowi życie, przynajmniej na jakiś czas. Emil mógł bez trudu zastrzelić kapitana, po czym odebrać jej i jej rodzeństwu prawo do Hult, jednak w obecnej sytuacji otworzyła się przed nimi możliwość ratunku, nawet większa, niż pierwotnie przypuszczała.

Alvar milczał. Matylda nie miała pewności, czy ją właściwie zrozumiał.

- A więc, Emilu - rzekła drżącym z napięcia głosem - dostaniesz naszyjnik, a także dwór, ale pod jednym warunkiem.

- O, ciekawe, zaczynasz stawiać warunki? - szydził Emil. - Wydaje ci się, że możesz sobie na to pozwolić?

- Żądam, byśmy wszyscy pojechali w kierunku Hälsingborga...

- A co tam po nas?

- O ile dobrze się orientuję, niedaleko stąd znajduje się zajazd Röstånga. Ty i twoja matka poczekacie tam na nas, a w zastaw zatrzymacie dzieci. I niech Bóg się zmiłuje nad wami, jeśli nie zaopiekujecie się nimi jak należy. Biada wam, jeśli spadnie im choć włos z

głowy! Mam aż nadto dowodów, byście oboje wylądowali w więzieniu.

- Nic nie pojmuję - odezwała się matka Emila, która nie odznaczała się nadzwyczajną inteligencją.

- Tymczasem my - ciągnęła Matylda - weźmiemy powóz i przeprawimy się na drugą stronę cieśniny, żeby przywieźć Brora, o ile jeszcze żyje. Jeśli umarł, cała odpowiedzialność spadnie na ciebie, matko, bo to ty wypędziłaś go z jego własnego domu. Obiecujemy, że wrócimy do gospody najpóźniej jutro wieczorem, choć postaramy się być wcześniej. I wtedy wszyscy pojedziemy razem do Hult. Wy dostaniecie naszyjnik i dwór, a my wolność. Akceptujecie nasz plan?

- Brawo - szepnął Alvar. - Przejrzałem dokładnie twoje zamiary.

- Dzięki, bałam się, że nie domyślisz się, o co mi chodzi.

- Niepotrzebnie! Jeśli chodzi o Brora, mamy bardzo mało czasu. Nie zdążylibyśmy, gdyby przyszło nam wracać do Hult i z powrotem.

- Chwała Bogu, że mamy ciebie, Alvarze - mruknęła.

Emil gorączkowo dyskutował z matką. Dzieci pochłipywały zziębnięte po nocy spędzonej pod gołym niebem.

W końcu zapadło postanowienie.

- Przyjmujemy wasze warunki! - zawołał Emil. - Ruszajmy do tej cholерnej gospody.

Machał pistoletem i zapędzał wszystkich do powozu. Matyldzie przypadło miejsce na koźle obok stangreta, a na jej kolanach usadowił się Herman. Alvara Emil nie zamierzał spuszczać z oka, dlatego kazał mu usiąść w powozie. Ani na chwilę nie wypuszczał z rąk pistoletu. Gdy tylko kapitan wykonał najlżejszy ruch, błyskawicznie przystawiał lufę do czoła Bedy.

Podróż do gospody Röstånga upłynęła w ciszy i w ponurym nastroju.

## ROZDZIAŁ XVI

Nad cieśniną Öresund zapadła noc. Pogodne niebo usiane było gwiazdami, okrągła tarcza księżycy lśniła jasno, niewiele brakowało do pełni.

Alvar i Matyllda oparci o burtę wpatrywali się w srebrną poświatę odbijającą się w tafli wody.

Właściwie powinno być bardzo romantycznie, myślała Matyllda. Ale jakże dalekie wydały jej się takie przeżycia. Przepęłniał ją strach o Brora. Czy żyje?

Wyruszyli z opóźnieniem, gdyż musieli czekać na prom, który mógłby zabrać na pokład powóz i konie. Na szczęście udało im się pożyczyć konie z zajazdu, bowiem ich własne były kompletnie wycieńczone. Powoził Alvar, na cóż mieli brać z sobą stangreta, któremu nie ufali?

Dziewczynę dręczył niepokój o przyszłość. Emil pozwolił jej wprawdzie odejść, ale to wcale nie oznaczało, że zgodzi się na rozwód. Sprawa była znacznie bardziej skomplikowana. Może upłynąć kilka lat, nim naprawdę będzie wolna.

Gdzie tymczasem rzuci ją los?

Najważniejsze, że nie będzie musiała znosić dłużej towarzystwa Emila. Dla niej to prawdziwe wybawienie.

Tak, uwolniła się od niego, ale zapłaciła za to wysoką cenę - straciła dwór. Jak teraz zdoła utrzymać się wraz z młodszym rodzeństwem? Alvar zaproponował wspaniałomyślnie, że odstąpi im część swego dworu w dalekim Uppland. Ale na razie sam nie miał grosza przy duszy.

Jeśli odnajdą Brora wśród żywych...

Czeka ich piesza wyprawa przez pół Szwecji z dwojgiem małych dzieci i śmiertelnie chorym chłopcem.

Czy ma prawo obarczać Alvara takim ciężarem?

Cóż jednak może uczynić innego? Emil i jego chciwa matka, uzyskawszy prawo własności dworu, uczeplią się każdej najdrobniejszej rzeczy w Hult. Matyllda nie miała najmniejszych złudzeń, że nie pozwolą jej ani rodzeństwu zabrać nawet odrobiny jedzenia, nie mówiąc o powozie czy pieniądzach. Znaleźli się we wrogich obozach, pomiędzy którymi zapanowała nienawiść.

Nienawiść? Nie, Matyldzie obce było takie uczucie. To prawda, czuła się zawiedziona, pozbawiona iluzji. Odczuwała pogardę dla niskich instynktów, jakimi kierował się Emil i jego



matka.

Vivian była chyba najmniej sympatyczna z tej trójki. Nawet matka i brat nie rozpaczali szczególnie po jej śmierci. W każdym razie, gdy tylko minęła żałoba, więcej o niej nie wspomnieli.

Jak krótki jest żywot egoizmu! Jeśli istnieje jakakolwiek sfera, w której zwycięża dobro, to zapewne jest to pamięć potomnych. Po prostu wspomina się tylko tych ludzi, którzy za życia potrafili poświęcać się dla innych.

Alvar i Matylda nie rozmawiali wiele ze sobą. Wcześniej omówili wszystko, co można było w tej sytuacji. Rozważyli trudne położenie dziewczyny, zarówno teraz, jak i w przyszłości. Alvar obiecał, że będzie na nią czekał tak długo, aż odzyska wolność - o ile taka chwila nastąpi. Zapewnił, że zrobi wszystko, by rodzeństwo czuło się dobrze w jego dworze w Uppland, że otoczy opieką młodsze dzieci i nigdy nie zrani Matyldy jako kobiety. Zapewni jej bezpieczną przyszłość.

Ale od Uppland dzieliło ich wiele kilometrów. Jeszcze upłynie sporo dni, nim będą mogli się tam udać. Emil z całą pewnością będzie dążył do tego, by załatwić formalne przejście dworu. Sprowadzi wójta do Hult, by przepisać na siebie wszystkie dokumenty.

Na samą myśl o tym, co ją czekało, Matyldę ogarniało przygnębienie i zmęczenie. Rozważyli z Alvarem wszelkie możliwe rozwiązania i mieli świadomość, że niewiele mogą zdziałać. Alvar próbował postraszyć Emila, zagroził, że złoży skargę wójtowi, jeśli Emil ośmieli się wziąć dzieci jako zakładników. Ten jednak odrzekł chłodno:

- Spróbuj! Tylko spróbuj! Wówczas wójt się dowie, że moja żona złamała przysięgę małżeńską... Mało tego, gdybyś to zrobił, na zawsze utracilibyście wszelkie szanse, by odzyskać dzieci. Nawet jeśli byłbym zmuszony wam je oddać, to zapewniam was, że nie przeżyją roku. Każdego dnia będziecie drzeć ze strachu o ich życie. Taka będzie moja zemsta.

Alvar odpowiedział, że Emil i tak już się zemścił na swej żonie, która przecież niczym nie zawiniła. Ale Emil zaśmiał się tylko szyderczo.

Kapitan i Matylda czuli się bezradni wobec takiego bezmiaru zła. Ludzie pokroju Emila i jego matki kierowali się własnymi pokrętnymi regułami postępowania. Byli całkowicie nieobliczalni i dlatego stanowili takie zagrożenie dla otoczenia.

Alvar, mimo obecności Emila, zwrócił się do właściciela zajazdu z prośbą o opiekę nad dziećmi, tak by nie stało im się nic złego.

Gospodarz, który doskonale znał Emila z jego częstych biesiad w towarzystwie zamożnych lekkoduchów, skinął Alvarowi uspokajająco głową. Nie darzył Emila nadmierną sympatią, zbyt często musiał go wyrzucać z szynku kompletnie pijanego, zbyt wiele razy

dopominać się o zapłatę za hulanki.

Matkę Emila również widział nie po raz pierwszy. Pamiętał, jak razem z różnymi mężczyznami i kobietami lekkich obyczajów brała udział w prawdziwych orgiach. Eleganckie stroje, jakie miała na sobie, nie ukrywały jej prawdziwego ja.

Tak więc chwilowo dzieci były bezpieczne.

Teraz najważniejszym zadaniem było odnalezienie Brora.

Alvar położył rękę na drobnej dłoni Matyldy. Dziewczyna podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Dostrzegła w nich ten sam niepokój, bezsilność i to samo ciepło, które czuła w sercu.

Naraz zdała sobie sprawę, że Alvar jej potrzebuje - jako przyjaciela i jako kobiety.

Poczuła, jak oblewa się rumieńcem. Nieśmiało uśmiechnęła się do niego. Zapewne spojrzenie wyraziło jej wewnętrzną rozterkę, bo Alvar odwzajemnił uśmiech dziewczyny, a jego twarz rozpromieniła się radością.

Nie chcieli sforsować koni, więc zatrzymali się na postój w Helsingör. Konie podobnie jak i ludzie potrzebują snu w nocy. Udali się do gospody. Wciąż głęboko zaniepokojeni losem Brora usiedli przy kominku i popijając wino rozmawiali.

Matylda miała na szczęście przy sobie pieniądze, które ukryła przed Emilem, mogli więc sobie pozwolić na tę odrobinę luksusu. Alvar bardzo cierpiał w swej męskiej dumie, że nie dysponuje własnymi funduszami, ale zamierzał zwrócić wszystko co do grosza. Niech tylko dotrą do Uppland.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że tak szybko wrócę do tego kraju, którego z całego serca nienawidzę - uśmiechnął się. - Tymczasem minął zaledwie tydzień i znów tu jestem.

Matylda również się uśmiechnęła. Na wszelki wypadek pożyczycyli w zajeździe w Röstånga ubranie dla Alvara. Pragnęli przedostać się do Danii dyskretnie, nie budząc niepotrzebnego zainteresowania, a szwedzki mundur kapitana mógłby im w tym przeszkodzić.

- Myślisz, że odnajdziesz drogę do stajni?

- Mam nadzieję - odpowiedział, patrząc na nią czule. - Muszę po prostu odtworzyć sobie tę trasę od końca, ale wydaje mi się, że stąd już jest niedaleko. Powinniśmy zdążyć dojechać tam i wrócić w ciągu jednego dnia. Jeśli oczywiście wstaniemy dość wcześnie.

- Wstaniemy - zapewniła Matylda, której wino zaczynało uderzać do głowy, tak że postrzegała Alvara w złocistej aureoli, dosłownie i w przenośni. Bezwiednie przysunęła się bliżej niego.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdziemy się położyć - rzekł niechętnie, bo z przyjemnością siedziałby przy stoliku i patrzył jej w oczy przez cały wieczór. Obawiał się jednak następstw takiego postępowania.

- Oczywiście - przytaknęła Matylda i wstała.

Udali się do swych pokoi, jedynych reprezentacyjnych pomieszczeń dla gości, jakie znajdowały się w tej gospodzie. Alvar odprowadził ją do drzwi.

- Nie zechciałbyś wejść do środka? Moglibyśmy jeszcze trochę porozmawiać - zaproponowała spontanicznie. Jednak w tej samej chwili, kiedy powiedziała te słowa, zorientowała się, jaką popełniła gafę. - Wybacz Alvarze! Zapomnij o tym, co powiedziałam. Zmieniłam zdanie. Nie myśl o mnie źle.

- Chętnie wstąpiłbym do ciebie, by pogawędzić - rzekł kapitan z czułością w głosie. - Ale wydaje mi się, że w tej sytuacji byłoby to bardzo nierozsądne.

- Tak, oczywiście. Masz rację.

Ujął jej dłoń, pochylił się i ucałował. Matylda wstrzymała oddech. Zdawało jej się, że w powietrzu zaiskrzyło, a jej dłoń wysyła impulsy rozchodzące się po całym ciele. Nie miała odwagi się poruszyć.

Naraz wspięła się na palce i pocałowała go pośpiesznie w policzek.

- Dziękuję ci, Alvarze, za wszystko - rzuciła i szybko weszła do pokoju.

Oparła się plecami o drzwi, drżąc jak liść osiki.

A więc na tym polega różnica, pomyślała. Co innego zadurzyć się w kimś o twarzy tak pięknej, że aż słodkiej, co innego zaś odczuwać głęboki, autentyczny pociąg do mężczyzny, którego wprawdzie znała zaledwie od kilku dni, więc może powinna wyrażać się o nim ostrożnie, ale z którym mimo to odczuwała prawdziwą więź.

Wierzę w to uczucie, myślała. Ufam, że Alvar je podziela. Wiem jednak, że nigdy nie będę wolna, a przynajmniej przez najbliższych kilka lat. Zdaję sobie sprawę, że Alvar tak bardzo pragnie być blisko mnie. Jakże byłam dziecinna, kiedy zakochałam się w Emilu! Przypominam sobie, że z przerażeniem myślałam o nocy poślubnej, nie miałam bowiem pojęcia o tym, co się ma wydarzyć. Tymczasem nie było żadnej nocy poślubnej i teraz cieszę się, że tak się stało.

Alvar naprawdę mnie pociąga. Nie mogę się temu oprzeć. Jest to uczucie silne i prawdziwe, szczere, zupełnie inne niż te nedorzeczne wyobrażenia, jakie miałam o sobie i Emilu we wspólnym łóżku. Mój Boże, przecież ja byłam wówczas taka przerażona, że o czymś takim nie miałam nawet odwagi pomyśleć.

Teraz pragnęłabym uczynić wszystko, by Alvarowi było przyjemnie. Ofiarować siebie

i przyjmować pieszczoty jak dorosła kobieta.

Ale to się nigdy nie stanie.

W pokoju wisiało stare poźółkłe i krzywe lustro. Matylda uczyniła coś, co nigdy przedtem nie przyszłoby jej do głowy. Rozebrała się i spojrzała na swe odbicie, zrazu bardzo niepewnie, odwrócona plecami, potem z lekkim ociąganiem odważyła się obrócić, najpierw trochę, potem coraz bardziej...

Oddychała szybko przerażona, nie mając odwagi napotkać swego spojrzenia. Ale oglądała się uważnie i na koniec doszła do wniosku, że ma zupełnie niezłą figurę.

Ciekawe, czy Alvarowi także się spodoba.

Wiedziała jedno: nigdy nie chciała pokazać się nago Emilowi, nawet w czasie nocy poślubnej.

Zmieniła się, stała się zupełnie innym człowiekiem.

To Alvar uczynił z niej kobietę, która była na tyle dojrzała, by przyjąć miłość mężczyzny - jego miłość.

Tymczasem on nigdy jej takiej nie zobaczy.

Matylda nie miała pojęcia, że Alvar długo jeszcze stał przed jej drzwiami. Jedną rękę położył na klamce, a druga gotowa była zapukać.

Był pewien, że dziewczyna wpuściłaby go do środka. Desperacko jej potrzebował po tylu miesiącach wstrzemięźliwości. Wiedział, że mógłby ją zdobyć, choć nie od razu. Była kobietą z zasadami i wierną żoną, ale żadne z nich nie miałyby dość siły, by powściągnąć uczucie, które nimi owładnęło. Na to czuli się zbyt sobie bliscy i zbyt wielkim zaufaniem obdarzali się nawzajem.

Dlatego właśnie to on musiał wykazać siłę charakteru. Oboje nie byli z natury lekkomyślni. Fakt, że jedno z nich związało się ślubem z kimś innym, stanowił przeszkodę nie do pokonania.

Jedno nierozważne posunięcie z jego strony, lekkie pukanie do drzwi, groziło nieodwracalnymi skutkami - złamaniem zasad, a to z kolei mogłoby wywołać wieczne poczucie winy w nim, a chyba jeszcze bardziej w niej. Należała bowiem do takiego gatunku kobiet.

Czyż nie działał nazbyt pochopnie, proponując rodzeństwu, by przeniosło się do niego do dworu w Uppland? Bez wątpienia była to decyzja nieprzemyślana, szczególnie ze względu na Matyldę. Jakże on zniesie tak bliską jej obecność?

Emil pozwolił jej odejść, sprzedał ją za przekłętą skarb. Ale Alvar mu nie ufał, zresztą

i tak dziewczyna nie była wolna.

W dalszym ciągu pozostawała żoną Emila. I jeśli nie zdołaliby się opanować, uznano by ją za kobietę żyjącą w grzechu.

Ogarnęło go naraz nieprzyjemne uczucie, że Emil uczynił tak z premedytacją, w pełni świadom tego, jak niewinną, prostoduszną i uczciwą istotą jest jego żona. Wiedział, że całkowicie ją ubezwłasnowolnił takim rozwiązaniem. Wolał pozwolić jej odejść, niż dać jej rozwód, zepchnął ją w próżnię.

Ich jedyną nadzieją było, że któregoś dnia Emil sam będzie potrzebował rozwodu. Może znajdzie kobietę jeszcze bogatszą. Wątpliwe jednak, by taka kobieta go zechciała. Hulaszcze życie zaczynało odciskać ślady na jego twarzy, na sylwetce, w sposobie chodzenia, w głosie.

A jego stosunek do pieniędzy mógł przerazić i zniechęcić każdego.

Alvar nie widział wyjścia z tej skomplikowanej sytuacji. Postanowił jednak nie martwić się na zapas, lecz kolejno usuwać przeszkody.

Teraz musieli odnaleźć Brora. Wszystko inne może poczekać.

Alvar poszedł do swego pokoju. Tym razem udało mu się przewyciężyć samego siebie.

## ROZDZIAŁ XVII

Bror Nilsson Huldt słyszał głosy strażników jak przez mgłę.

- Nie, z tego tam już nic nie będzie. Damy mu zastrzyk, by skrócić jego cierpienia, czy wyrzucimy go na dwór, na zimno?

- Tak, rzeczywiście jest strasznie słaby, wciąż leży, bardziej trup niż żywy człowiek, zajmuje tylko miejsce i nasz czas.

Czas? pomyślał Bror w półprzytomnie. Nie zauważyłem, by ktoś mi go poświęcał.

Był taki zmęczony, wszystko wokół niego i w nim płonęło z gorączki. Ubrania i nędzna pościel były prze pocone, mokre od potu włosy chłodziły nieprzyjemnie czoło i kark. Nie przypominał sobie, by dostał coś do jedzenia, ale nie odczuwał głodu.

Dusza mu krwawiła. Leżał tu całkiem bez sił, nawet nie był w stanie podnieść ręki, by otrzeć pot z czoła. Oddech miał krótki, przyspieszony.

Gdzieś w podświadomości zachował wspomnienie, że pozbył się tego okropnego ciężaru, czerwonej torby, którą miał zawieźć do Hult.

Nie zdołał jednak przypomnieć sobie, w jaki sposób udało mu się tego dokonać.

W każdym razie po tym fakcie wszystko wydało mu się łatwiejsze. Co prawda był chory, jednak zniknął dławiący go strach. Prysnęło wrażenie czegoś wstrętnego, zaraźliwego, co sprawiało, że sam czuł się odpychający, a ludzie na jego widok odwracali się plecami.

Co się właściwie stało?

Nie pamiętał. Nie potrafił sobie przypomnieć.

Przyjazny głos? Wiadomość dla Matyldy?

Nie, wszystko mu gdzieś umknęło.

Umieram, pomyślał. To o mnie rozmawiają. Śmiertelny zastrzyk? Wyrzucić na dwór?

Wszystko jedno. Pragnę jedynie spokoju.

- Czy jesteś pewien, że jedziemy dobrą drogą?

Alvar wstrzymał konie i rozejrzał się. Już od dłuższej chwili krajobraz był dość jednostajny.

- Nie wiem, powinienem pamiętać, ale...

- Nie zapamiętałeś żadnych charakterystycznych punktów?

- Nie. Zresztą nie szedłem drogą, a poza tym była noc.

- No, a kiedy cię tu przywieźli?

- Wtedy byłem nieprzytomny.

Matylda cicho westchnęła. Nie chciała okazywać zniecierpliwienia oraz niepokoju o Brora.

- Ale jak właściwie nazywa się ten dwór, do którego należały budynki gospodarcze, w których was ulokowano?

- Nie pamiętam. Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałem tę nazwę.

- Ale wydaje ci się, że to gdzieś blisko?

- Tak. Moim zdaniem powinniśmy być na miejscu przynajmniej od godziny. Ale tam, gdzie, jak mi się wydawało, powinien stać dwór, nie było go.

Matylda milczała przerażona.

- Podjedźmy do tamtego wzgórza - westchnął Alvar. On także powoli tracił pewność siebie.

Co będzie, jeśli zabłądzili? O co mają pytać?

Ale przy wzgórzu odzyskał nadzieję. Nagle poznał okolicę.

Matylda odetchnęła z ulgą.

Wartownik przy wejściu do stajni popatrzył na nich wrogo.

Ujrzał młodą kobietę z wyższych sfer, o zmęczonych i pełnych niepokoju oczach, i postawnego mężczyznę, który sprawiał wrażenie źle ubranego. Wydawało się, że strój, jaki ma na sobie, nie pasuje do niego, był zbyt skromny jak na jego pozycję. Złocistobrązowe włosy i czyste błękitne oczy. Gdzie widział już takie oczy?

Alvar bał się panicznie, że strażnik go rozpozna, bo wówczas ich plan ległby w gruzach, nie dostaliby się do środka. Przeciwnie, na nowo zostałby wzięty do niewoli. Nie mógł jednak pozwolić Matyldzie wejść samej do stajni. Zbyt dobrze znał tych prostackich strażników.

Na szczęście panował mrok, a poza tym kiedy Alvar tu leżał, był brudny i zaniedbany. Teraz wyglądał całkiem inaczej. Jedyne, co mogło go zdradzić, to oczy.

Wartownik pilnował wejścia, nadzór nad chorymi jeńcami mieli inni strażnicy, których na szczęście nie wezwano. Wartownik schował się pod dachem, a przybysze szybko skryli się w mroku stajni.

Na spotkanie wyszedł im jeden z okrutnych sanitariuszy.

- Młody chłopak? - zdziwił się. - Nie, nie ma tu takiego. Już nie ma.

- A gdzie jest? - spytała Matylda. Wcześniej ustalili z kapitanem, że to ona będzie rozmawiać.

- Umarł, więc wynieśliśmy go na zewnątrz.

Matylda zachwiała się i pewnie by upadła, gdyby Alvar jej nie przytrzymał.

- Gdzie? - spytał zmienionym głosem, żeby nie zostać rozpoznany.

- Po drugiej stronie, przy północnej ścianie. Nie mieliśmy czasu nim się zająć - dodał sanitariusz przepraszająco, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. - Jeśli chcecie go zabrać, to proszę bardzo.

Nie zwlekając wyszli ze stajni i obeszlili budynek dookoła. Zrozpaczona Matylda uczepliła się dłoni Alvara. Jej twarz pobladła z napięcia i strachu. Przecież mogło chodzić o Brora, ale też i o zupełnie innego chłopca.

Podeszli do sterty gnoju, gdzie rzucony niedbale, na brzuchu, leżał Bror.

Matylda jęknęła cicho, żałośnie, ale upierała się, by podejść całkiem blisko.

Alvar obrócił chłopca.

- Jest ciepły - rzekł niskim głosem bez wyrazu. - Rzucili go tu, żeby umarł. To ich stałe praktyki. Pamiętam... Zresztą to teraz bez znaczenia. Biegnij po powóz. Podjedź tu jak najbliżej.

Posłuchała go i poszła. Tymczasem Alvar badał chłopca.

- Bror? Jesteśmy tu. Matylda i ja, twój przyjaciel, Alvar.

Lekkie drżenie powiek musiało wystarczyć za odpowiedź.

- Teraz już wszystko będzie dobrze, Bror.

W każdym razie Alvar pragnął gorąco w to wierzyć.

Podjechał powóz.

- On żyje! - zawołał Alvar. - Szybko przenieśmy go do powozu i czym prędzej stąd odjeżdżajmy! Teraz liczy się czas!

Matylda płakała, kiedy unieśli jej brata i położyli na podłodze powozu. Alvar kazał jej chwycić lejce i powozić, a on tymczasem miał się zająć chorym. Zamierzał owinąć chorego w coś ciepłego i napoić go, bo na pewno organizm miał mocno odwodniony. Przypomniał sobie, jak zmuszano go do picia mętnej, zakażonej wody, kiedy leżał ranny w stajni.

Teraz mieli z sobą trochę mleka...

Do Hult jest tak strasznie daleko. Zresztą i tak nie będą mogli tam dłużej mieszkać.

Co zrobią ze śmiertelnie chorym chłopcem?

Muszą uczynić wszystko co w ich mocy.

Kiedy odjechali wystarczająco daleko, zatrzymali się nad rzeką i zajęli Brorem. Zdjęli z niego śmierdzące łachmany i wymyli go dokładnie, a potem założyli świeże ubranie, które pożyczycy w zajeździe, i owinęli chłopca w ciepłe, miękkie skóry.



Wydawało im się, że póki nie będzie czysty, nie ma szans wyzdrowieć.

- Próbowałem napić go odrobiną mleka - rzekł Alvar. - Ale to trochę niebezpieczne, bo przetyka z trudem. Boję się, że może się udusić.

Matylda przytaknęła. Na jej twarzy malowało się napięcie i strach.

- Ale słyszał mnie, kiedy pierwszy raz odezwałem się do niego. Potem jakby coś się w nim załamało.

- Może poczuł ulgę?

- Możliwe. Teraz jest nieprzytomny, ale wydaje mi się, że już nie ma tak bardzo wysokiej temperatury jak na początku.

Przez chwilę, kiedy konie posilały się owsem, siedzieli przy chorym. Matylda ukradkiem ocierała łzy.

- Bror? - pytała co chwila, ale nie otrzymała odpowiedzi.

- Gdyby tylko udało nam się go nakarmić - westchnął Alvar.

- Może na razie organizm nie potrzebuje pożywienia? Może ważniejsze było dla niego, by poczuć się bezpiecznie?

- Miejmy nadzieję, że on jedynie wypoczywa.

- Tak - szepnęła Matylda.

- Tak - usłyszeli niczym echo z ust chłopca leżącego na podłodze powozu.

Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się. Matylda płakała i śmiała się na przemian, a i Alvarowi oczy podejrzenie błyszczały.

- Teraz wszystko będzie dobrze, Bror - powiedziała dziewczyna ciepło i pogłaskała młodszego brata po policzku. - Alvar, twój przyjaciel, zaopiekuje się nami!

## ROZDZIAŁ XVIII

W zajeździe Röstånga wynajęli powóz i stangreta, który miał odprowadzić wóz z Hult. Dzielili się na dwa wrogie obozy i nie mieli ochoty przebywać razem. Zresztą i tak brakowałoby miejsca.

Kiedy Matyllda wręczała gospodarzowi zajazdu resztę swych oszczędności, ten szepnął cicho do niej i Alvara:

- Cieszę się, że ci dwoje nie są ze mną spokrewnieni. Ale zaglądałem do dzieciaków. Nic złego im się nie działo.

Podziękowali mu i udali się w powrotną drogę do domu. Maluchy nadal musiały przebywać z Emilem w charakterze zakładników, na szczęście Matyllda zdążyła szepnąć im, żeby się nie bały, bo wszystko będzie dobrze.

Ale czy naprawdę?

Nie była wcale tego taka pewna. Czekala ich bardzo długa droga do Uppland, a teraz już żadne z nich nie miało pieniędzy.

Jaki status będzie miała w Uppland? Nie powinna mieszkać pod jednym dachem z Alvarem. Przecież jest mężatką...

Przyszłość jawiła się jej w ciemnych barwach.

I tylko jedno ją radowało: Bror zaczynał wracać do zdrowia. Nawet zjadł trochę kleiku i poznał młodsze rodzeństwo. Nie pozwolono im jednak podejść zbyt blisko, bowiem ciągle nie było wiadomo, co chłopcu właściwie dolega.

Emil i jego matka w ogóle nie przejęli się powrotem Brora, ledwie zarejestrowali jego obecność. Do głowy nie przyszło im spytać, jak się czuje. Jedyne macocha zastrzegła sobie, że nie zamierza siedzieć w tym samym powozie, co ten „zadzumiony”. Kto wie, co z sobą przywłócił?

Nikt jednak nie pragnął jej towarzystwa, więc właściwie dobrze się składało.

Zmierzchało, kiedy zbliżali się do Hult. Matyllda z daleka dostrzegła potężny głąz w lesie i zawołała do stangreta, by się zatrzymał.

Powozy przystanąły i wyszło z nich czworo dorosłych.

- Matyllda, pójdziesz tam i przyniesiesz skórzaną torebkę ze skarbem - rozkazał Emil. - A jeśli wrócisz z pustymi rękami, zabiję dzieciaki, i to bez wahania.

- Przyniosę - odpowiedziała Matyllda cicho.

Biegąc przez las poczuła nagle, jak strasznie przemarzła. Stopy z zimna aż jej zeszywniały, na pewno twarz miała siną. Emil bez żadnych racjonalnych powodów kazał jej siedzieć przez cały czas na koźle obok stangreta. Chyba chodziło mu jedynie o to, by ją upokorzyć. Nie chciał też pewnie, by siedziała obok Alvara. Do samego końca usiłował zademonstrować swą władzę nad żoną. Na nic się nie zdały próśby Alvara, by mógł siedzieć na koźle zamiast Matyldy.

Nie, Matylda wypije do dna to gorzkie piwo, jakiego sama nawarzyła, postanowił Emil.

Ludzie często kierują swą agresję przeciwko komuś, kogo wcześniej skrzywdzili. To rodzaj samoobrony.

Emil wiedział doskonale, że żona miała mu wiele do zarzucenia, dlatego właśnie usiłował ją złamać.

Skórzana torebka leżała w miejscu, w którym ją ukryli. Czegóż innego zresztą się spodziewała? Chwyliła za koniec paska i trzymała mieszek jak najdalej od siebie, by nie naruszyć złej aury otaczającej przeklęty skarb.

Gdy wróciła, rozgorzała dyskusja, czy Emil powinien od razu dostać skarb. Alvar nie chciał go oddać, póki wszyscy nie będą bezpieczni. Podkreślał przy tym, że Matylda musi potwierdzić swym podpisem, iż dwór przechodzi na własność męża.

Stało na tym, że wszyscy pojedą do dworu. Alvar trzymał skarb i pilnował, by nie oddać go przedwcześnie. Ani trochę nie ufał Emilowi i jego matce!

Ale czy Emil nie zdawał sobie sprawy, że ma nad nimi przewagę? Mógł przecież zastrzelić Alvara! Wyglądało jednak na to, że ten ulizany piękniś stracił wszelki koncept. Był rozkojarzony i zachowywał się jak histeryk. Zapewne oszołomiła go rychła perspektywa przejęcia okazałej fortuny.

W powozie wraz z pojawieniem się skórzanej torebki wyraźnie popsuta się atmosfera. W każdym zakamarku czaił się znajomy dręczący niepokój. Alvar i Matylda doskonale rozumieli ludzi, którzy przed blisko tysiąc pięciuset laty postanowili zakopać drogocenny klejnot wraz ze znienawidzoną czarownicą.

I tak dotarli do Hult. Ściemniło się, ale jeszcze widzieli swoje twarze.

Czy to już po raz ostatni oglądam nasz dwór? myślała Matylda. Właściwie tyle złego się tu wydarzyło, że może wcale nie będzie mi tak ciężko stąd wyjeżdżać? Będę jednak tęsknić za tymi wszystkimi miłymi sercu przedmiotami: mój piękny sekretarzyk, skrzynka mamy na przybory do szycia, meble, wśród których upłynęło moje dzieciństwo, jedyna

pamiętka po rodzicach.

Mogłabym poprosić Emila, by pozwolił mi zatrzymać niektóre z nich, ale wątpliwe, czy dobrowolnie zrezygnuje z czegokolwiek.

A żebrać u niego nie będę.

Czy miałam prawo zrzec się w imieniu maluchów ich prawa do majątku?

Tak, przecież chodziło o życie Brora. Mam nadzieję, że dzieci zrozumieją to któregoś dnia.

Oba powozy wjechały na dziedziniec i wszyscy z wyjątkiem Brora wysiedli.

- I co? - odezwała się macocha władcym głosem. - Dostaniemy w końcu skarb, naszą prawowitą własność?

- Spokojnie - rzekł Alvar. - Najpierw musimy wnieść do domu Brora.

- Nikt nie będzie wchodził do mojego domu! Nie życzę sobie nikogo poza Emilem!

- Wcale na to nie liczyliśmy - odparł Alvar. - Cała czwórka rodzeństwa zamieszka u mnie. Pozostaje tylko kwestia, kto ma największe prawo do tego dworu.

- Emil jest już tu panem, a ja jako żona Nilsa Broderssona dziedzicę przed jego dziećmi.

- Dwór jest zapisany na Matyldę. Najpierw ona musi więc podpisać dokumenty, w których zrzeka się własności.

- Zrobi to. Ale teraz dość gadania! Dawajcie nasz skarb!

Dwór tonął w półmroku. Świeciło się w niektórych oknach należących do służby. Kilku służących czekało w drzwiach, by przyjąć troje dzieci, ale matka Emila powstrzymała ich.

Matylda była już bardzo zmęczona i marzyła jedynie o tym, by w spokoju zająć się Brorem i dwojgiem maluchów. A tymczasem nie mogła nawet wejść do własnego domu. Brakowało jej sił, by walczyć o swoje prawa.

- Spotkajmy się w pół drogi! - krzyknął Alvar. - Dzieci puśćcie do nas natychmiast! I żadnych sztuczek.

Matylda wiedziała, że i Alvar jest śmiertelnie zmęczony. Rana dokuczała mu bardziej, niż chciał to przyznać sam przed sobą. Trzymał się wyłącznie dzięki silnej woli.

Jakaż była mu wdzięczna za jego odwagę!

Grupki zbliżyły się do siebie. Konie wierzgały i parskaly. Chłodny wiatr powiał od strony bramy i zatańczył wokół dziedzińca. To już jesień, pomyślała Matylda i uświadomiła sobie, że straciła serce do rodzinnego dworu.

Maluchy podbiegły do niej, a ona otoczyła je ramionami i przytuliła. Kucnęła i

uspokajająco coś im tłumaczyła. Dzieci były przerażone i z lękiem spoglądały ukradkiem na tych dwoje, którzy przetrzymywali je w charakterze zakładników. Beda wyraziła się o nich nieładnie, a Matylda, która w głębi serca zgadzała się z małą, nawet jej nie usiłowała strofować.

Alvar uniósł skórzany worek i rzucił go Emilowi. Z ulgą pozbywał się tego ciężaru. Matka i syn pochylili się nad torebką.

- Sprawdź, czy nas nie oszukali - upomniała go gorączkowo matka.

- Nie, nie rób tego - ostrzegła Matylda. - Idź i zakop to z powrotem w kurhanie, dla własnego dobra.

- Aha! - odezwał się Emil chytrze. - Nie chcesz, żebym sprawdził, czy czasem nie włożyliście do torebki kamienia zamiast skarbu? Zaraz się upewnię.

- Nie rób tego, Emilu - prosiła Matylda.

Alvar jest dziwnie milczący, pomyślała, rzucił im worek bez żadnego ostrzeżenia.

Gdyby mogła czytać w jego myślach, pewnie by się zdumiała.

Emil ledwie zdążył poluzować rzemyki, gdy gwałtownie chwycił się za szyję. Zachwiał się trochę, ale zaraz odzyskał równowagę.

- Ten cholerny Bror chyba mnie zaraził. Zaczyna mi być niedobrze.

Atak jakby ustąpił.

- Tak tu ciemno - parsknął Emil. - Chodź, mamó, wejdziemy do środka. Służba! Zapalcie świece w pokoju gościnnym. Muszę w końcu obejrzeć, co dostałem. Nareszcie zobaczę skarb, który sam wygrzebałem z kurhanu.

- Ukłułeś się wówczas w palec, Emilu. Zapomniałeś o tym? - przypomniała Matylda.

- Bzdury! To był tylko jakiś korzeń.

Zachowywał się jak w gorączce.

- Matylda, wejdiesz ze mną do środka. Dziś jeszcze podpiszemy dokumenty. A wtedy wynocha z mojego domu! Nie chcę tu żadnych intruzów: was i tego zarozumiałego kapitana, który panoszy się po cudzym dworze. I pamiętaj, nie rób głupstw. Wiesz dobrze, że w każdej chwili mogę oskarżyć cię o złamanie przysięgi małżeńskiej.

- Matylda nie złamała żadnej przysięgi - odezwał się Alvar spokojnie. - Wydaje mi się, że to raczej ty powinieneś zrobić rachunek sumienia.

Emil zamierzał coś na to odpowiedzieć, jednak uznał, że ma ważniejsze sprawy na głowie.

Byli z matką tak przejęci skarbem, że nie zwrócili uwagi, iż wszyscy wchodzą za nimi do środka: Matylda, Alvar i maluchy uczone kurczowo sukni siostry, nawet grupka

służących, wśród których znajdował się stangret, ucho i oko macochy.

Wyraźnie ma upodobanie do stangretów, pomyślała Matyllda z odrazą. Na ogół wybiera bardzo przystojnych.

Matyllda szepnęła zaufanej służącej o chorym bracie. Ta skinęła głową na znak, że rozumie, i wraz z kilkoma innymi wyszła z izby. Po chwili dziewczyna usłyszała, że powóz opuszcza dziedziniec.

Pokój gościnny był rzęście oświetlony.

Alvar objął Matylldę ramieniem, by dodać jej otuchy. Ale to tylko rozwścieczyło Emila. Brutalnie pociągnął Matylldę w swoją stronę, drugą ręką dając znak stangretowi, by przytrzymał Alvara.

- Tak się składa, że to jest moja żona - rzucił wyniośle. - I będzie robić, co ja zechcę.

Chwycił za dekolt jej sukni, szarpnął i rozerwał aż do talii. Potem pocałował ją wulgarnie.

Alvar odepchnął stangreta i jednym ciosem powalił Emila.

- Przestań poniżać swą żonę w obecności tych wszystkich ludzi - rzekł błydy jak ściana. Zdjął kurtkę i okrył nią Matylldę.

Macocha wykrzykiwała coś histerycznie o chamskim kapitanie i pospolitych dziwkach, podczas gdy Emil podnosił się z trudem. Z kącika ust spływała mu strużka krwi.

- Jeszcze tego pożałujesz, kapitanie Befver! - krzyknął z groźbą w głosie. - Precz z mego domu! Precz!

- Ten dom jeszcze nie należy do ciebie - odpowiedział Alvar. - Jeszcze Matyllda nie podpisała dokumentów. Nie ruszę się stąd i dopilnuję, by nic się jej nie stało. Bo jak widać jest to konieczne.

- Mam cię gdzieś, kapitanie - syczał Emil przez zaciśnięte zęby. - Nie mam czasu zajmować się twoimi zranionymi uczuciami. Mamo, gdzie jest torebka?

- Na stole. Szybko, obejrzyjmy skarb!

Emil porwał mieszek i drżącymi palcami poluzował rzemienie. Otworzył i wyjął ze środka naszyjnik, okazały i niezwykle piękny. Alvar, który stał dość blisko, widział, jak błysnęło stare złoto. Na naszyjniku wryto ornamenty. Były prastare, starsze niżli ornamentyka wikingów.

Vanlande. Prehistoryczne imiona z czasów opisanych w sagach: Visbur i Domalde, Domar, Dyggve, Dag... Nie, to niemożliwe, by wszyscy oni byli zamieszani w historię klejnotu Huldy.

Kiedy żyli? O ile w ogóle kiedyś żyli. Razem z Matylldą obliczyli, że musiało to być

na przełomie trzeciego i czwartego wieku.

Agne, który został powieszony na swym własnym naszyjniku, żył nieco później.

Jeden został uduszony przez wiedźmę nasłaną przez Huldę. Inny spalił się, krew jeszcze innego zalała ołtarz ofiarny. Któryś zabił swoich siedmiu synów, nie chcąc oddać władzy...

Krwawe czasy!

Ozdobne ornamenty wyglądają jak magiczne znaki. Naszyjnik należał przecież do czarownicy, która wyryła je, posłużwszy się najskrytszymi sekretami czarnej magii. Jak silna musiała to być osobowość, skoro legenda o niej przetrwała tyle setek lat!

- Przepiękny - szepnęła macocha. - Dostaniemy za niego więcej, źle oszacowałeś jego wartość!

- Rzeczywiście! Zerwiemy tę umowę, którą już zawarliśmy. Ja...

Urwał, a dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Rzucił naszyjnik, by chwycić się za szyję.

Matylda w okamgnieniu zrozumiała, co może się za chwilę wydarzyć, więc czym prędzej wyprowadziła dzieci na dwór i zostawiła je pod opieką młodziutkiej służącej. Potem wróciła do pokoju gościnnego.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Matka Emila krzyknęła i rzuciła się, by złapać upadający naszyjnik. Trzymała go kurczowo, wołając do syna:

- Emilu, zwariowałaś, nie pozwolisz chyba zabrać im skarbu, on jest przecież wart tysiące... - urwała. - Emilu, Emilu, co ty robisz?

Wyraźnie nie mógł złapać powietrza. Twarz mu posiniała i nabrzmiała, zachwiał się i upadł. Matka puściła naszyjnik i upadła na kolana obok syna.

- Emil! Co ci jest? Pomóżcie mu!

Alvar działał szybko.

- Jedyne co może pomóc - powiedział - to zakopanie klejnotu w ziemi, w grobie Huldy. Gdzie jest torebka?

Sięgnął po naszyjnik, ale matka Emila była szybsza i przysunęła go do siebie.

- O, nie, nawet nie próbuj! On jest mój!

- Ale...

Krzyknęła. Na oczach przerażonych zebranych jakaś niewidzialna siła uniosła ją i uderzyła o kant stołu.

- Puść naszyjnik! - krzyknęło kilka osób naraz.

- Nigdy! Jest mój, mój... Oczy! Kto to jest? Patrzy na mnie takimi okropnymi...

Znów poderwało ją w górę i rzuciło o ścianę. Twarzą uderzyła o ramę obrazu. Krew

ochlapała tapety. Stangret usiłował przytrzymać swą chlebobawczynię, ale znów ta sama siła ponownie wyrwała mu ją z rąk i popchnęła wzdłuż pokoju, uderzając nią o kanciastą szafę.

Dłoń macochy zacisnęła się zachłannie wokół naszyjnika. Nikt nie miał czasu spojrzeć na Emila, który leżał nieruchomo na podłodze z wyciągniętym językiem.

W końcu macocha upadła.

Krzyk ucichł. Ściany, stół i szafa zaplamione były jej krwią.

Zupełnie jak ołtarz ofiarny.

Świadkowie zdarzenia stali cicho, porażeni, sparaliżowani przez strach.

Emil ocknął się. Nie podnosił się jednak. Próbował coś powiedzieć, ale słowa brzmiały niczym zduszone jęki.

Stangret uklęknął przy nim i spytał:

- Co mówisz, panie?

- Przeszło mi - zdawał się mówić. - Ale co to za czarownica? Te oczy?

Jego pałające nienawiścią spojrzenie napotkało wzrok Matyldy. Widzisz, nie umarłem. Wygadywałaś bzdury! To był tylko atak choroby gardła. Gdzie naszyjnik? Jest mój!

- Ma go twoja matka, Emilu. Przykro mi...

Odwrócił głowę.

- Nie widzę dokładnie. Czy to ona leży na podłodze? Co to za krew? Zabiliście ją, podli? Zabiliście?

- Nie. Nikt z nas jej nie ruszył. To sprawa Huldy. Twoja matka kurczowo trzyma w dłoni naszyjnik. Boimy się go tknąć.

Usiadł z pomocą stangreta. Krzywiąc twarz w bólu dotykał szyi.

- Diabły! - syczał. - Zabiliście moją matkę i próbujecie zwalić winę na naszyjnik. Jesteście szaleni. Wolę stąd wyjść, nim na mnie podniesiecie rękę. Chcecie zabrać naszyjnik, przyznaj się, Matyldo. Ty i twój kochanek.

- Emil, bądź rozsądny! Pozwól nam odnieść skarb z powrotem do grobu Huldy. Wrzuć go do skórzanej torebki.

- Przestań gadać - usiłował krzyknąć Emil, ale tylko zacharczał. - Chcę stąd wyjść. Pomóż mi wstać!

Ale zanim podał rękę stangretowi, spojrzął w stronę martwej matki. Dłoń, w której zaciskała klejnot, zwrócona była ku niemu. Siłą wygiął jej palce i wy dostał naszyjnik.

- Emil, zastanów się - prosiła Matylda.

Machnął tylko ręką zniecierpliwiony. Wsparty na ramieniu stangreta pokuśtykał do wyjścia.



- Żeby nikt z was mi go nie zabrał - rzekł zachrypniętym głosem już przy drzwiach - powieszę go sobie na szyi.

I przełożył klejnot przez głowę.

- Pięknie, co?

- Dobry Boże - szepnął Alvar i przytrzymał mocno Matyldę, która wykonała gwałtowny ruch w stronę Emila.

Pozostali stali bezradni, wpatrując się w niego. Służąca, widząc Emila wychodzącego ze stangretem, pośpiesznie zaciągnęła dzieci do służbówki.

Emil odepchnął swego pomocnika.

- Teraz już sobie sam poradzę. Widzicie? Wszystko chcieliście mi zabrać, zabiliście moją matkę, ale to ja mam naszyjnik. To ja będę bogaty!

Chwiejnym krokiem przeszedł przez dziedziniec w stronę powozu, po drodze mijając drzewo rosnące na środku.

Nigdy wcześniej Matylda nie zwróciła uwagi na to, że gałęzie zwisają tak nisko. Naraz doszedł ich przeraźliwy krzyk, a światło z okien oświetliło makabryczną scenę.

Emil zahaczył naszyjnikiem o wystający konar i zawisł na nim. Jak to się stało, nie byli w stanie pojąć. Nogami nie mógł sięgnąć podłoża. Prawdopodobnie gałąź uniosła się i nim ktokolwiek zdążył podbiec, Emil się udusił...

Wszelkie próby przywrócenia go do życia spełzły na niczym.

Kiedy wszyscy zajęci byli Emilem, usłyszeli krzyk jednego ze służących. Odwrócili się i spostrzegli to samo co on: w oknach pokoju gościnnego buchnęły płomienie, oświetlając cały dwór. Rozległy się złowieszcze trzaski.

- O, nie! - krzyknęła Matylda. - Szybko, ratować ludzi i zwierzęta!

Wszyscy zapomnieli o martwym Emilu. Gorączkowo gaszono pożar i wynoszono dobytek. Inwentarz został wyprowadzony na okoliczne łąki.

Dość szybko udało się opanować zagrożenie, ale matka Emila spłonęła w środku. Pokój gościnny został całkowicie zniszczony.

Służba spisała się nienagannie i z największym poświęceniem uratowała większość mebli i przedmiotów codziennego użytku.

Tylko to, co znajdowało się w największym pokoju, zostało bezpowrotnie stracone.

Nikt jednak nie odczuwał z tego powodu żalu. Zbyt wiele nieprzyjemnych zdarzeń miało tam miejsce.

## ROZDZIAŁ XIX

Ustalono, że Alvar zajmie się najtrudniejszym: zdejmie naszyjnik z szyi Emila i zakopie go w grobie Huldy. Szaloną propozycję któregoś z parobków, by pogrzebać Emila z przeklętym klejnotem, odrzucono z niesmakiem.

Matylda stała wraz z innymi na dziedzińcu i drżała na całym ciele.

- Naszyjnik musi wrócić na swoje miejsce - upierała się. - Musimy dopilnować, by zło znalazło się na powrót głęboko w ziemi.

Stary kucharz odezwał się z powagą:

- Tak, to jedyne rozsądne wyjście. I niech mi wolno powiedzieć w imieniu wszystkich, że ulżyło nam, gdy zobaczyliśmy cię w dobrym zdrowiu, panno... pani Matyldo. Ale jeśli chodzi o przyczynę wszelkiego zła, to nie jestem pewien, czy nie leży tutaj... Wprawdzie nie należy wyrażać się źle o zmarłych, ale...

Pozostali służący kiwnęli głowami uroczyście.

Kiedy oni zajęci byli rozmową, stangret Emila ukradkiem zdjął klejnot z szyi swego zmarłego pana i wsunął do torebki, którą w zamieszaniu wyniósł z domu. Zamierzał wysliznąć się nie zauważony przez bramę, wolny i bogaty. Wiedział, że we dworze nie ma już czego szukać.

Ale Hulda nie puściła mu tego płazem.

Niczym Vanlande z rodu Ingingów, który przed wieloma setkami lat został opętany przez nasłaną przez Huldę wiedźmę, tak teraz stangret został powalony w zwieńczonej łukiem bramie. Jakaś koszmarna zjawa dosiadła go i usiłowała mu połamać wszystkie kości.

Nieszczęśnik wył jak oszalały:

- Weźcie to! Weźcie to diabelstwo!

Nie mógł otworzyć dłoni, która ścisnęła kurczowo paski skórzanego mieszka. Alvar wziął od jakiegoś parobka nóż i szybkim ruchem odciął rzemienie.

Stangret uniósł się, z trudem łapiąc oddech. Matylda po raz pierwszy zachowała się przytomnie i nie popadła w sentymentalny ton.

- Precz! - krzyknęła surowo. - Odejdź stąd i nigdy nie wracaj!

Wstał niepewnie, oparł się o ścianę, a potem chwiejnym krokiem wyszedł za bramę i zniknął w mroku nocy.

Było już bardzo późno, dzieci spały w pokoju, który nie ucierpiał w pożarze. Dym i zapach spalenizny zalegały nad domostwem. Wszyscy odczuwali straszne zmęczenie i ciągłe

nie mogli wyjść z szoku.

- Może odpoczniesz? - zaproponował Alvar. - Wiesz, że mogę zrobić to sam.

- Nie, nie zostawię cię sam na sam z wiedźmą. A poza tym nie zdołam zasnąć, póki tego nie załatwimy.

Dziewczyna nadal była wstrząśnięta, szczękała zębami i z trudem wymawiała słowa.

Ale Alvar rozumiał, o co jej chodzi. Wziął długi drąg i zahaczywszy o resztki rzemieni, uniósł torebkę z naszyjnikiem.

Nie pozwalając nikomu zbliżyć się do niej, okrążyli zabudowania i wielką gromadą, zaopatrzeni w łopaty i lampy, ruszyli w stronę kurhanu.

Matylda, która szła obok Alvara, powiedziała głośno i dobitnie:

- Idziemy, Huldo, zwrócić ci twój prastary skarb. Nie mamy złych zamiarów! Przyrzekamy, że już nigdy nikt nie naruszy miejsca twego wiecznego spoczynku!

Wielu obecnych kiwało z zapalem głowami podczas tej przemowy. Większość z nich słyszała krążące po okolicy legendy o jakimś grobie w zagajniku. Teraz po raz pierwszy usłyszeli z ust Alvara i Matyldy całą historię o Huldzie.

Część służby została w domu, by opiekować się dziećmi i chorym Brorem. Do spalonego pokoju gościnnego nikt nie odważył się jednak zbliżyć.

Matylda, zanim poszła ze wszystkimi, zajrzała do rodzeństwa i upewniła się, czy śpią.

Teraz ja jestem właścicielką Hult, pomyślała, ja i moje rodzeństwo. Ale nie chcę tego dworu i myślę, że oni również.

Dotarli do kurhanu. Służące z odpowiedniej odległości oświetlały grób, chłopcy stanęli w gotowości z łopatami.

Na znak Alvara wykopali głęboki dół i wrzucili skórzany worek z naszyjnikiem.

Nikt im nie przeszkadzał. W koronach drzew coś szumiało cicho, ale ten szum nie zwiastował niczego złego, nie ostrzegał ich jak ostatnio.

Uklepali starannie ziemię. Wszyscy byli zgodni co do tego, że nikt nie powinien się dowiedzieć, jaką tajemnicę kryje to miejsce. Im mniej osób wiedzieć będzie o grobie Huldy, tym lepiej dla następnych pokoleń.

- Wiesz, Matyldo - odezwał się Alvar, kiedy opuszczali zagajnik. - Czuję wielką ulgę. Jakbym się obudził z koszmarnego snu.

- To tak jak ja. Straciłam jednak ochotę, by tu mieszkać.

- Rozumiem cię. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanę z tobą parę dni i pomogę ci. Trzeba urządzić pogrzeby, wydać polecenia służbie, poza tym sprowadzić lekarzy do Brora.

- Będę ci wdzięczna - rzekła Matylda lekko rozczarowana, że nawet słowem nie wspomniał o niej.

- A potem, kiedy się z tym uporamy - dodał - zapraszam was wszystkich czworo do mojego dworu do Uppland.

Bałam się, że już tego nie powie, pomyślała Matylda i odetchnęła z ulgą.

- Bardzo dziękuję - rzekła. - Z radością skorzystamy z zaproszenia. Nawet Bror powiedział dziś służącej, że tutaj zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Z nimi, czy bez nich... Wybacz, nie powinnam tak mówić, oni nie żyją.

- Wiem, o co ci chodzi - uspokoił ją Alvar.

Po jakimś czasie ruszyli w drogę przez Szwecję.

Dwór sprzedali chłopu, któremu zależało wyłącznie, na ziemi. Budynków nie chciał nawet oglądać. Słyszał, że się tam wydarzyły straszne rzeczy.

Matylda i jej rodzeństwo mieli więc pieniądze. Pożyczyli trochę Alvarowi, by sprawił sobie lepszy strój. Oczywiście wzbraniał się przed przyjęciem pożyczki, ale Matylda postawiła na swoim.

Alvar wracał więc do domu elegancko ubrany. Wyprawy wojenne Karola X Gustawa zakończyły się, zresztą król zmarł, a na tron wstąpił pięcioletni król Karol XI. Dobry Boże, pozwól mi zachować przyjaźń Alvara, modliła się Matylda. Tak bardzo go kocham, moja miłość do niego rośnie z każdym dniem. On jest cudowny... Cóż ja kiedyś wiedziałam o prawdziwym uczuciu?

Bror wydobrał na tyle, że odważyli się zabrać go w tak długą podróż. Siedział w powozie i z zainteresowaniem śledził zmieniające się krajobrazy. Na szczęście tajemnicza choroba, której lekarze nie potrafili nazwać, ustąpiła. Matylda miała na ten temat własną teorię. Jej zdaniem chorobę wywołał naszyjnik Huldy, który Bror zbyt długo nosił przy sobie.

Osobliwa historia, myślała. To nie było zwyczajne znalezisko archeologiczne. W grę wchodziły prawdziwe czary!

Alvar popatrzył na dziewczynę. Ich pierwsze spotkania odbywały się w ciemnościach, dopiero podczas wyprawy do Danii ujrzał ją w świetle dziennym.

Jest taka piękna, delikatna, słodka i na pierwszy rzut oka trochę bezradna. Ale ta krucha osóbką wykazała niezwykłą siłę woli w pokonywaniu trudności.

Właściwie zakochał się, zanim ją ujrzał w pełnym świetle. Nikt więc nie mógł mu zarzucić, że urzekła go piękna buzia. Po prostu byli sobie przeznaczeni!

Matylda zrozumiała, że Alvar przewidywał niejasno, co się stanie, kiedy Emil i jego

matka dostaną skarb w swoje ręce. Wybaczyła mu, że nie próbował z większym przekonaniem powstrzymać ich przed dotykaniem naszyjnika. Pamiętała przecież, że jej przestrogi jeszcze bardziej podsyciły w obojgu żądzę posiadania klejnotu.

I chociaż może nie było to w porządku, Matylda jednak czuła, że dobrze, iż tak właśnie się stało.

Teraz wszyscy byli wolni.

Alvar krążył myślami wokół tych samych spraw. Kiedy minie żałoba Matyldy, będzie mogła zostać jego żoną. Nie składała mu wprawdzie żadnych obietnic, był jednak pewien, że nie odrzuci jego oświadczeń. Zbyt dobrze czuli się ze sobą, by każde z nich miało spędzić samotnie resztę życia.

Mały Herman z uśmiechem popatrzył na Alvara.

- Czy to prawda, że w twoim dworze są psy?

- Zawsze mieliśmy dużo psów - odpowiedział Alvar. - Szczeniaki też. Kiedy znowu jakaś suka będzie miała małe, dostaniecie po jednym, ty i Beda.

- Och, wspaniale - wyrwało się Hermanowi. - Czy będzie tylko mój?

- Czy ja też dostanę psa? - zapytał Bror.

Alvar odwrócił się do niego i zapewnił go, że tak.

Błada twarz Brora rozpromieniła się. Choć bardzo zmęczony podróżą, odczuwał ogromną ulgę. Był szczęśliwy, że skończył się koszmar, w którym żył od czasu powtórnego ożenku ojca. Bror oznaczał się chyba największą wrażliwością spośród czwórki rodzeństwa.

Herman wsunął swą drobną rączkę w dłoń Alvara.

- Zostaniesz z nami, prawda? - zapytał.

- Zawsze będę przy was, Hermanie. Zawsze.

Chłopczyk westchnął uszczęśliwiony.

- Na pewno będzie nam razem dobrze.

- Na pewno, Hermanie.

Dzięki, Huldo, rzekł w duchu Alvar, naraz rozbawiony tą groteskową myślą. Dziękuję za wszystko, co dostałem od ciebie.

Za ich powozem toczyły się dwa duże wozy, załadowane po brzegi przedmiotami stanowiącymi własność rodzeństwa.

Alvar spojrzał na śpiącą Bedę i pozostałą trójkę. Najdłużej zatrzymał wzrok na Matyldzie.

Tak, wkrótce zaczną nowe życie.

Nawet nie przypuszczał, że Matylda rozmyślała o tym samym co on. Za kilka godzin

staną na nocleg w zajeździe. Już parokrotnie spędzali noce w gospodach, gawędząc wieczorem przy kieliszku wina. Napięcie między nimi rosło, ale do tej pory nie złamali zasad przyzwoitości.

I oto dotarli do następnego postoju, Matylda pełna lęku, Alvar zaś podekscytowany perspektywą wspólnego wieczoru.

Stopniowo bowiem człowiek przestaje pamiętać o normach moralnych i oszołomiony bliskością kochanego człowieka daje się porwać uczuciu.

Tych dwoje nie stanowiło w tym względzie wyjątku.

Żadne z nich nie chciało łamać zasad, ale z coraz większym trudem trzymali na wodzy swe emocje. Wiedzieli, że balansują nad przepaścią.

Wypili wino, znużeni ciężkim dniem. Zmęczenie sprawiło, że byli bardziej niż zwykle podatni na działanie trunku.

Dzieci spały spokojnie w swym pokoju i zapewne nie przebudzą się przed rankiem. Czuli się bezpieczne w towarzystwie ludzi, którym ufały i których darzyły sympatią. Daleko od niedobrej cioci i wstrętnego Emila.

Maluchy nie uświadamiały sobie, że tych dwoje nie żyje i nic już im z ich strony nie zagraża. Matylda musiała więc nieustannie je uspokajać i zapewniać, że nikt ich nie zabierze.

Dzieci śniły o szczeniakach.

- Gospodarz chyba chce już zamknąć salę jadalną - rzekł Alvar lekko. - Chyba możemy porozmawiać w pokoju.

- Oczywiście - odparła z równą swobodą. - Przecież to nic takiego... to znaczy...

- Chyba wolno nam z sobą rozmawiać!

Przytaknęła. Jej pokój był ładniejszy, więc poszła przodem i wpuściła go do środka. Trzymała w ręku świecznik, który uroczyście postawiła na półce wiszącej na ścianie.

Alvar stał tuż za nią i gdy się odwróciła, wpadła wprost w jego ramiona.

Stało się to tak nieoczekiwanie, że Matylda zawstydzona ukryła twarz na jego piersi. Rękami objęła go za szyję, by nie pomyślał, że go odtrąca.

- Matyldo - odezwał się błagalnie.

- Słowa jeszcze bardziej wszystko komplikują - szepnęła, potrząsając głową.

Zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że oboje potrzebują czułości, zrozumienia, poczucia wspólnoty. Nie chciał jednak, by dręczyli się z powodu wyrzutów sumienia, iż grzeszą wobec Boga i łamią przyjęte normy.

Długo tak stali. On wtulił policzek w jej włosy i głaskał ją po głowie i po plecach. Matylda nie mogła w nieskończoność kryć się w jego ramionach. Podniosła głowę, by

zaczepnąć powietrza.

Alvar ujął w dłonie twarz dziewczyny i zajrzał jej głęboko w oczy.

Nie ma w tym nic zdrożnego, pomyślała Matylda. To miłość dwojga dojrzałych ludzi, którzy nigdy nie doświadczyli bliskości drugiego człowieka.

Wiedziała, że Alvar potrafi odczytać jej uczucia, tak jak i ona pojmowała, co on czuje do niej.

Pocałował ją po raz pierwszy. Delikatnie przyłożył wargi do jej ust i długo ich nie odrywał.

- Teraz już pójde - szepnął. - Zbyt mocno cię kocham, by cię skrzywdzić. Dlatego muszę odejść. Bo jeśli tego nie uczynię natychmiast, mogę ci sprawić ból.

- Dziękuję, Alvarze. Gdybyś został, nie opierałabym się, wiesz o tym, prawda?

- Tak. Czy zechcesz mnie poślubić, kiedy nadejdzie czas?

- Tak, Alvarze. Czy ja właściwie zasłużyłam na takie szczęście? Powiedz, że tak!

- Oczywiście. Bardziej niż ktokolwiek inny. Myślę, że oboje na nie zasłużyliśmy.

- Och, Ojczulku Czasie, pośpiesz się, przebieraj szybciej swymi starymi nogami.

- Zadnę w róg, by zbudzić staruszka. Niech rusza w drogę - zaśmiał się Alvar. - Bo Matylda i Alvar dłużej nie wytrzymają życia w cnocie!

Złożył na jej czole ojcowski pocałunek i pośpiesznie opuścił izbę.

Na wszelki wypadek.

Historia złotego naszyjnika Huldy pojawia się wraz z Visburem, synem Vanlanda. Po śmierci króla Agne ginie wszelki słuch o tym klejnocie.

Klątwa Huldy spełniła się: Wszyscy królowie z rodu Inglingów zginęli straszliwą śmiercią. Brat walczył przeciwko bratu, ojcowie mordowali synów, synowie zabijali swych ojców aż do wygaśnięcia rodu na dalekiej Północy.

Ale gdzieś na północno-zachodnim skrawku Skanii tuż przy morskim brzegu wznosi się wzgórze niezwyklej urody. Nikt jednak nie chce tam osiąść i pobudować domostwa. Gdyby pogrzebać w ziemi, odnalazłoby się stare fundamenty potężnego dworu, który około siedemnastego wieku uległ zapomnieniu i popadł w ruinę.

Ale to miejsce pamięta czasy znacznie odleglejsze.

Jest coś dziwnego w tym pięknym zakątku. Człowiek odczuwa dziwny niepokój, gdy się tam znajdzie... Może to sprawia szum drzew porastających zbocze aż po morski brzeg?

Jeśli wejdziecie w głąb lasu, wśród zielonych cieni odnajdziecie niewielki kopczyk.

Przypomina grób.

Gdyby któreś z was nabrało ochoty na poszukiwania archeologiczne, to dobrze wam radzę, zaniechajcie tego zamiaru!

Grób skrywa niebezpieczny skarb: przekleństwo Inglingów. Więc nie kopcie zbyt głęboko w ziemi!

Szumi wiatr i opowiada prastarą sagę o przemocy, krwawych mordach, o wszechpotężnym złu. Ale także o samotnej duszy, która nie zaznała spokoju. Duszy, która zagubiła się w bezdrożach czarnej magii i została za to boleśnie ukarana.

Pamiętajcie, nie kopcie zbyt głęboko!